Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Na dany znak przez przewodnika wszyscy wstają, piękny to widok, jak na głos trąby Archanioła, rozwierały się nasze śniegowe groby i wychodziły z nich... bałwany, przybierające natychmiast ludzkie kształty. I znów rozmaite śmieszne sceny, gdy kto niezręcznie wychodził z numeru, poczem każdy swoje schronisko winien był strzepnąć ze śniegu i ułożyć na nartach. Następowało często wzajemne umywanie śniegiem, gotowanie czaju i śniadanie, przy którem nie długo bawiąc, ruszaliśmy w drogę. Pochód otwierał zawsze przewodnik, zwykle jeden z silniejszych Tunguzów, najwięcej miał on pracy, torując drogę dla następujących. Dalej idą już kolejką, jak kto stanie do marszu. Psy w pochodzie trzymają się panów swych i toru, gdy śnieg miękki, zbiegają zaś z toru, kiedy zwietrzą lub zoczą zwierzynę, jeżeli to była biełka lub jej podobne, wówczas otoczywszy drzewo, na które się schroniła, dają koncert wokalny, dość przyjemny w głuszy leśnej szczególniej dla ucha myśliwego.

Wyprawy, takim jak opisany sposobem, przedsiębraliśmy zimą, najczęściej w Listopadzie i Grudniu, na niedźwiedzie w barłogu (legowisku zimowem), który bywa zawsze więcej oddalony od miejsc zamieszkałych, także na jelenie i łosie (sochatyj syn) z tych ostatniego nie widziałem, lecz wiele nasłuchałem się opowiadań od Tunguzów, Ostjaków, a także od napływowych, raczej zesłańców, myśliwych. Latem wyprawy inną przybierają postać. Brak wtedy tu śniegu, zimna, więc Tunguzi występują w sakujach ogolonych z włosów, podeszwy opatrują jeszcze drugą parą podeszew, na podobieństwo naszych łapci, sznurowanych na okręconych irchą nogach. Rękawy sakuja również o ile można ściślej zamknięte, często pokazują się siatki, na głowie i twarzy, chroniące od ukąszenia komarów a szczególnie moszki t. j. muszki maleńkiej, która wszędzie się wciska, gdzie tylko znajdzie otwór, a tak dolegliwie kąsa, że czasem zwierz przez nią prześladowany pada. Nieraz wyszedłszy bez siatki lub nie pomazawszy się dziegciem, co także stanowi przeciw moszce ochronę, przechodząc przez wąwozy lub niższe miejscowości, zwłaszcza bagniste, w okolicy strumyków lub rzeczek, wracałem z twarzą i rękami opuchłemi.

Narty i numera hotelu tojożnego, przekształcające myśliwego w bałwana, również i łyży, zostają w jurtach t. j. namiotach Tunguzkich lub w domach, natomiast wychodzi na arenę transportu poczciwy renifer, niosąc na

osiodłanym grzbiecie wszystko co potrzeba. Zacne to zwierzę jest nawet niańką młodego pokolenia swych panów, często bowiem widziałem małe Tunguziątka zawinięte w skóry, w pudełku z kory brzozowej, zawieszone na grzbiecie starego rena. W pochodach, w których czasem cała familia Tunguzów brała udział, uważałem jak czworonoga i rogata niańka często oglądała się troskliwie na swój od czasu do czasu krzyczący ciężar, i starannie unikała przeszkód z tej strony, po której pudło wisiało. Ren wygodnie osiodłany, może unieść do trzech pudów t. j. około 120 funtów ciężaru. Siodło na rena, to pierwocina terlicy, przód i tył stanowią łuki mocno zgięte z rogów jego braci, pięknie lub mniej pięknie rzeźbione. Deseczki boczne z brzozy, połączone z łukami za pomocą rzemyków. Czaprak spodni, jakoteż pokrywający siodło ze skór wyprawnych z włosem, ostatni często ozdobiony wyszyciami, popręg szeroki blisko na dłoń z grubej jeleniej skóry. Strzemion nie używają. Może jedyny w Galicyi okaz takiego siodła posiadam, lecz bez czapraków. Z tyłu siodła, przyczepiony na rzemykach, w kształcie haka, również rogowy przyrząd, służący w razie jazdy wierzchem do przytroczenia lekkiego juka. Gdy ren dźwiga same juki, to są one równo rozłożone przez siodło po obu bokach. Ren tylko Tunguza dźwiga, chód jego prawie tak spory, jak u nas konia mierzyna. W razie potrzeby może i kłusa pójść pod jeźdźcem.

Naszkicowawszy o ile mogłem i o ile mi pamięć wystarczała, prawdziwy obraz myśliwego i przyborów łowieckich, przystąpię do opisu wyprawy na każdego zwierza z osobna.

W okolicy, którą zamieszkiwałem, niedźwiedzie już w końcu Września, a najdalej w połowie Października zwykle udawały się na leże zimowe, w których pozostawały do końca Kwietnia a nawet i do drugiej połowy Maja. W czasie gdy pan Taptygin (niedźwiedź) wyszukuje sobie mieszkanie na czas miesięcy zimowych, bywa bardzo ostrożnie, z daleka przez myśliwych obserwowany, jeśli jednak spostrzeże, że jest śledzonym, wynosi się w głębsze okolice tajgi i tam obiera sobie kwaterę. W Listopadzie i Grudniu Tunguzi i Ostiacy zajmują się, biegając po tajdze, wyszukiwaniem barłogów (gawr). Rozumie się, iż uskuteczniają poszukiwania w miejscowościach tajgi, gdzie podczas lata i krótkiej, bo zaledwie dwa tygodnie trwającej jesieni, niedźwiedzie się ukazywały. Opowiadano mi, że niedźwiedź zanim legnie, bacznie i ściśle rozpatruje otaczającą tajgę w około w promieniu kilko-wiorstowym od upatrzonego pałacu, który musi koniecznie znajdować się choćby na małem wzniesieniu, bądź to na pagórku, lub na stoku większej góry, po stronie jej południowej, albo wschodnio- lub zachodnio-południowej. Od północy nie zajmuje mieszkania, nie myli się w tem nigdy, choć, jak mnie solennie zapewniano, w wyborze stron świata nigdy busoli nie używa. Przyczyną tego wiatry północne silne (siwier), panujące w Syberyi. Barłog wybiera zawsze w lesie dobrze podszytym, w rozpadlinie skał, gdzie spód pokryty grubo mchem, lub opadkami drzew, liśćmi i igłami, lub też pod wykrotami. Często, jak twierdzą Tunguzi, rozprzestrzenia jeśli możebne, swoją sypialnię i uściela łoże mchem i suchą trawą, zanim się na kilkomiesięczny sen położy. Jakżeśmy zazdrościli temu wybrańcowi natury, w czasie naszego tam pobytu zwłaszcza, gdy część naszych, pracujących w kopalniach złota, właśnie na miesiące błogiego snu Taptygina, rozliczano i puszczano wedle znanego i utartego pomiędzy nami i rosjanami terminu „na podnożnyi korm" (na trawę), często aż do połowy Maja, kiedy znów rozliczonych wzywano do pracy. Przez te miesiące i tak, choć nie zasypialiśmy, nie raz byliśmy blizcy ssania własnej łapy. Lecz wracajmy do barłogu. Gdy już go sobie urządzi, wedle upodobania, kładzie się i zasypia. Śledzący myśliwy nie zbliża się doń, ale trzymając się w pewnej odległości od gawry, naznacza w około siekierką drzewa, naciosując wysoko, jak tylko dostać może, by znaki później przez śnieg zakrytymi nie zostały. Czasem w pochodach trafia się na barłogi wypadkowo, rozumie się, zawsze głębiej w tajdze. Poznać go można po okienku (okoszko) t. j. otworze, którym para oddechu i cieplejszego a wilgotnego powietrza wydobywa się na zewnątrz z niedźwiedziej sypialni. Poznać łatwo okienko, bo ściana śniegowa jego, a nawet i powierzchnia, tuż przy otworze, zawsze śniegiem zlodowaciałym otoczona, czego przy innych przypadkowych otworach nigdy nie bywa. Poszukiwania barłogów zwykle odbywają Tunguzi, po dwóch lub trzech, przebiegając razem, lecz w pewnej od siebie odległości okolice tajgi.

W czasie mego pobytu, wynalazłszy barłog, prawie zawsze, sprzedawali go, z obowiązkiem doprowadzenia i pomocy, jakiemu zamożnemu myśliwemu. Byłem w kilku takich wyprawach, naturalnie jako zaproszony, nie właściciel t. j. płacący. Gdy kto nabędzie barłog, co kosztuje zwykle około dwudziestu pięciu a czasem i więcej rubli, naznacza termin, dobiera sobie towarzyszów, wybierając strzelców dobrych i odważnych. Przebudzeniem pan Taptygin bywa bardzo rozgniewany, a zatem bez względu na dostojeństwo osobistości budzącej go, rad karci okropnie, a gdy mu się uda, nie poprzestaje na jednym wrogu.

Tunguzi święcie dotrzymują terminu. Wyprawa odbywa się sposobem wyżej opisanym. Zbliżywszy się na kilka wiorst od barłogu, jeśli pora dnia późna, myśliwi nocują, spoczywając po trudach drogi, przygotowując się do rannych łowów i omawiając naprzód czynność wszystkich uczestników z osobna, tak, by stanąwszy na miejscu, każdy wiedział i spełniał swą rolę należycie, od czego wiele zależy udanie się łowów. Po drodze zaopatrują się w dwa, niezbędne długie a mocne drągi. Lubo sen niedźwiedzia jest bardzo silny, zwłaszcza gdy czas mroźny, podchodzi się jednak do gawry, o ile można cicho i ostrożnie. Naprzód idą strzelcy, tuż zabiegają z boków dwaj przeznaczeni do drągów. Stanąwszy na miejscu, strzelcy, najczęściej trzech, ustawiają się przed samem okienkiem na kilka kroków, towarzysze drągowi zbliżają się i wsuwają końce drągów na krzyż złożone w okienko gawry. Gdy poczują wyraźny opór stały, podnoszą końce zewnętrzne tak, by skrzyżowane stanowiły niejako górną część ramy okienka, wówczas, jeśli jest pies, to szczują w okienko, gdy ten naszczekuje a misio się jeszcze nie przebudza, to długą ostro zaciosaną tyczką, szukają spiocha, który zazwyczaj gdzieś przy przeciwległej okienku ścianie spoczywa. Gdy tyka zaostrzonym końcem dotknie spoczywającego, niedźwiedź gniewnym głosem oznajmia swe rozbudzenie, wtedy uderza się go jeszcze raz tyką i szybko ją wyciąga, a towarzysz spełniający rolę budzika, również szybko ustępuje na bok, odstawia tykę a bierze w rękę palmę, w którą tyczkowy zawsze uzbrojony. Teraz strzelcy ustawieni na przeciw okienka, przygotowani do strzału pilnują.

Taptygin przetarłszy zaspane oczy, rozgniewany, są-

dząc może, iż naszczekujący pies odważa się budzić jego wielkość, chcąc go skarcić, wyskakuje okienkiem na zewnątrz, wtedy towarzysze drągowi, poczuwszy drgnięcie, ich dłoniom powierzonych narzędzi, natychmiast naciskają wolne końce drągów ku dołowi. Niedźwiedź przygnieciony siłą całą dwóch ludzi, musi chwilę pozostać w okienku. Chwila to pożądana dla strzelców, naznaczony na pierwszego pali najczęściej w łeb raz i drugi, usuwając się natychmiast po strzale za następującego kolegę i broń nabija. Ten wymierzywszy, do czego ma dość czasu, zwłaszcza gdy pierwsze strzały były trafne, strzela, starając się trafić śmiertelnie, zostawiając drugą kulę na wypadek. Teraz już drągowi najczęściej są sędziami strzałów, śmiertelnie bowiem raniony zwierz od razu poddaje się ich ciśnieniu. Nie kończy się na tem czynność drągowych, często w jednej gawrze spi matka, dziecię i piastun t. j. przyszły ojczym. Gdy zabity zwierz opada w gawrę, drągi wracają do pierwotnego położenia, jest to chwila wyczekiwania czy drugi łeb w okienku się nie pokaże, lub nie usłyszy się rozdąsanych mruków rozbudzonych strzałami i zaniepokojonych współlokatorów gawry Chwila ta uroczysta dla myśliwych przeciąga się zwykle parę minut, poczem rwącego się psa wpuszcza się do gawry, lub gdy myśliwi nie mają go z sobą, czyni się dalsze poszukiwania tyką. Nie znajdując nic, lub gdy pies wyskoczy bez naszczekiwania, co jest dowodem, że tylko przez jednego lokatora apartament był zajęty, odkopuje się śnieg i sprawdza śmierć niedźwiedzia i na tem polowanie skończone. Myśliwi zajmują w posiadanie sypialnię Taptygina, rozkładają u brzegu ogień i natychmiast zabierają się do obielenia.

Byłem na wyprawie, gdzie znaleźliśmy dwóch mieszkańców jednej sypialni, a wiarogodny myśliwy sybirak mówił mi, iż czasem po trzech bywa w jednym barłogu. Tenże myśliwy upewniał, że raz był świadkiem, jak drągi nie wytrzymały oporu niedźwiedzia i pękły, a strzał pierwszego strzelca nieszkodliwie ugodził zwierza. Niedźwiedź wyrwawszy się jak błyskawica z gawry, poranił silnie dwóch strzelców i tyczkowego, którzy stali po stronie, w którą się rzucił, drudzy nie mieli czasu i sposobności strzelić, ponieważ niedźwiedź ciągle znajdował się w zapasach z ich towarzyszami. Słyszałem też, iż po zabiciu pierwszego niedźwiedzia, gdy on usunie się do gawry, drugi wystraszony traci przytomność, rzuca się po sypialni mrucząc lub rycząc, chowa się, i nie myśli o prześladowaniu nawet małej psiny, która dokucza mu, szarpiąc zajadle, z trudnością też można go zmusić, by zjawił się w okienku i wtedy trzeba go strzelać w mieszkaniu. Tu znów palma występuje na pierwsze miejsce przy otworze, aby nie umknął, gdy zostanie mniej silnie raniony.

Niedźwiedź opuściwszy gawrę na wiosnę, w czasie roztopów, jest głodny, wychudzony i wówczas najniebezpieczniejszy. Zgłodniały towarzyszy zwykle, trzymając się w niewielkiej odległości, transportom żywności i towarów, wysyłanych z miast lub magazynów do kopalń złota, leżących w tajdze, zawsze prawie o kilkaset wiorst od miejsc zamieszkałych odległej. Czyni to w celu zaspokojenia głodu padliną, gdyż zdarza się często, iż biedne koniska łamią nogi lub padają ze znużenia na nie do opisania złej drodze. Towary z sań, przy których koń upadł, rozkłada się na inne, a biedne konisko zostaje na pożytek Taptygina i innych, z dala towarzyszących mu, również zgłodniałych drapieżników. Gdy nie trafi się taka pastwa, postępuje za transportem aż na pryiski (kopalnie) i znów odprowadza opróżniony z towarów transport pilnując, czy się gdzie podczas noclegu nie uda obłowić jaką zmęczoną szkapiną. Często przy drodze można widzieć oczyszczone prześlicznie szkielety na drugi lub trzeci dzień po pozostawieniu konia padłego. W tem zwykle pomagają mu wilki, śledzące tak jak Taptygin, transporta. Dla tego też na noclegach zawsze ustawia się wartę i rozkłada ognie.

Nie zgrzeszę, mam nadzieję, w obec łaskawych czytelników, gdy odstąpię od przedmiotu i podam obrazek transportu i tajożnej do kopalń złota drogi. Transport taki składa się częstokroć z trzydziestu i więcej sani jednokonnych, naładowanych najrozmaitszymi przedmiotami, niezbędnymi w kopalniach mianowicie: mięsem, sianem, owsem, herbatą, cukrem, spirytusem, obuwiem, odzieżą dla pracujących w kopalniach, których często po 200 do 500 ludzi na jednej kopalni bywa. Przy jedynej drodze, prowadzącej do kopalń, są co 30 do 50 wiorst odległości jedna od drugiej, tak zwane stacye pocztowe, składające się z jednego lub dwóch domków i ogrodzonego żerdziami podwórza, na którym w ordynku ustawiają się sanie a przy nich karmią się konie. Konie bywałe w takich podróżach, same ostrzegają o zbliżaniu się nieprzyjaciela, który zwietrzywszy zapasy żywności podchodzi do obozu. Transporta takie chodzą tylko zimą, bo kołowa droga dla ciężarów jest nie do przebycia, jak n. p. do północnego systemu (wyrażenie miejscowe) kopalń złota, do jenisejskiej tajgi, tam jedna i o jednym torze droga od Jenisejska do kopalń prowadzi, a kopalń jest kilkadziesiąt, można ztąd łatwo wnosić, ile tam przejdzie transportów i jakie uchaby (zatoki) i nyrki (wyboje) muszą się potworzyć. Często się zdarza, iż jadącemu znika nagle koń z przed oczów, a za chwilę widzi go gramolącego się na drugi stromy brzeg, sam zaś wraz z saniami leci gdyby w otchłań w metrowy często wybój. Ominąć go nie podobna, bo droga utarta ma ściany śniegowe, często i na półtora metra wysokie. Ale nie mała bieda, jeśli gdzie w podobnem korycie spotkają się transporta wracające próżne, z naładowanym idącym do kopalń. Natenczas nie ma innej rady, jak tylko zrzucenie próżnego do śniegu t. j. koni wraz z saniami, by odkryć tor do przejazdu, co gdy transport liczniejszy, zajmuje dobrą godzinę czasu, zanim się dalej w pochód wyruszy.

Gdy cieplejsza pora nadchodzi, niedźwiedzie zbliżają się do miejsc zamieszkałych, t. j. wsi i miast. Pomimo chłodu, siła roślinności wielka jak nigdzie; źdźbła traw, zdaje się przebijają cienką już skorupę śniegu i nieraz można spostrzedz, jak kwiatek wyskakujący nad jego powierzchnię, jakby ze śniegu wyrastał. Byle miejscami śnieg ztajał, już za dni parę spora roślinność ziemię pokrywa. Spragnione paszy bydło i konie wychodzą z ogrodzeń na tę świeżutką trawę, a ponieważ rąk do pracy mało, więc mieszkańcy wioski, najmują dwóch pasterzy, a ci przy dwóch przeciwległych bramach paskotiny pilnują, by bydło po za nią nie przechodziło. Paskotina nazywa się przestrzeń ziemi wykorczowanej, jest to pastwisko płotem z żerdzi grubych ogrodzone, w promieniu od jednej do dwóch wiorst od wsi. Po za paskotiną tajga i łatwo więc każdy zrozumie, że Taptygin przypatrując się pięknemu rzeczywiście bydełkowi sybirskiemu z po za płotu, poluje nań. Apetyt wzmożony niedostatecznem jeszcze odżywieniem po śnie zimowym, na widok pięknej krówki, sprowadza mu zapewne ślinkę do buzi, gdy więc ta pokusa doprowadzi

go do ostateczności, przeskakuje zaporę, jaką zwykle przedstawia płot, na wysokość człowieka, rzuca się na wybraną ofiarę, zwykle jedną z najlepszych sztuk, chudych i starych, gdy ma lepsze, nie rusza. Jednem uderzeniem łapy ogłusza, a następnie zabija, zabitą bierze w ochapkę t. j. przedniemi nogami i niesie do płotu, przerzuca zań już gotową ofiarę, przeskakuje i odnosi często niedaleko, by zasiąść do uczty. Sprawia się z tem wszystkiem tak szybko, iż pasterz, nieraz nawet nie wiedziałby o napadzie, gdyby nie wystraszone bydło, które pędem doń biegnie, jakby chciało szukać u niego ratunku dla siebie. Pasterz wtedy krzyczy i trąbi, słowem robi hałas na jaki zdobyć się może, w czem czworonogie w około niego zgromadzenie usilnie mu dopomaga.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z LISOWIC.

Któż z czytelników „Łowca" nie zna artykułów skreślonych mistrzowskiem piórem hr. Kazimirza Wodzickiego, zapoznających nas z Sylwanką, z tą psotnicą leśną, która jakoby w tem ma główne upodobanie, że w niwecz często obraca najpiękniejsze łowieckie zamiary. Nie widziałem jej nigdy, ale ją znam, zamieszkuje ona w nieprzystępnych górach i zapadłych borach, a mając przez kilka miesięcy do roku zapewniony ustawą o ochronie zwierzyny wolny czas, przemyśliwa nad tem, jakby nie powtarzając się w pomysłach spłatać jakiegoś figla myśliwemu. Czy to Sylwanka, czy też duch górski Szyllera, chroniący trwożną gazelę od strzały zapamiętałego strzelca alpejskiego i gromiący go słowy:

„Cała ziemia ci zostaje —
Czemu moje trapisz kraje?!"

zawsze jest jakaś istota, która się opiekuje zwierzyną na przekór myśliwemu. Nie taję, że te postacie allegoryczne, okryte jakąś mgłą tajemniczości mytologicznej, przemawiają silnie do mojej wyobraźni, ale wybaczcie mi towarzysze Lisowczycy, czasem nasuwa mi się mimowoli pytanie, czy też to istotnie całą winę przypisać należy Sylwance? „*Les absents ont tort*" — ona nie ma swojego dziennika, obronić się nie może, ale gdyby się chciała mścić za potwarz rzuconą na siebie? Tego rodzaju myśli przychodziły mi do głowy na tegorocznem jesiennem polowaniu, trwającem 8 dni t. j. od 20. do 29. Października b. r. Jesienne nasze polowania są zwykle przeważnie poświęcone niedźwiedziom, inna zwierzyna jako to dziki, lisy i pomniejsza drobna, stanowią zwykle akcessorya, zdobiące pięknie łup niedźwiedzi... ale to w innych latach. W tym roku niestety nie możemy się poszczycić podobnym tryumfem, pomimo że od samego początku najświetniej się łowy zapowiadały. W pierwszym bowiem zaraz dniu straż nasza łowiecka, doprowadzająca do mistrzowstwa sztukę tropienia na czarnej stopie, zapowiedziała nam w części lasu „Dubowem" zwanej, obejmującej trzy mioty, dwa niedźwiedzie i stado złożone z trzynastu dzików. Każdy łatwo zrozumie, jak chętnie usłyszeliśmy rozkaz prowadzącego polowanie hr. Kazimirza Wodzickiego, ażeby w miotach tych nie strzelać do niczego z wyjątkiem niedźwiedzia i ewentualnie rysia, dziki, rogacze, lisy, zmalały w jednej chwili w naszych oczach do rozmiarów zajęcy i królików.

Z bijącem sercem zajęliśmy stanowiska wyczekując trąbki sygnałowej, odezwała się ona wreszcie i po krótkiej chwili, która się nam wiekiem wydała, usłyszeliśmy na flance najpierw ryk potężny a potem strzał jeden — i znów cisza. Krew goręcej w żyłach zawrzała — zabity lub chybiony, czyli też w miot wrócił? Wreszcie obława wyszła, spieszymy na flankę — rozczarowanie! Sylwanka pozwoliła ujść swojemu niedźwiedziemu pupilowi przed strzałem starego i wytrawnego myśliwego, który już wiele niedźwiedzi w życiu swojem położył. Z ciężkiem sercem bierzemy miot drugi — nie ma niedźwiedzia, niewątpliwie przeto musi być w trzecim, jakoż był istotnie i uszedł mimo trzech strzałów! Nie — trzeba być sprawiedliwym, to już chyba nie bogini winna, ona nam wyprowadziła te dwa niedźwiedzie na strzał, równie jak i trzeciego jeszcze chybionego w czwartym dniu przez służbę. Lepiej uderzmy się w piersi, powiedzmy ze skruchą „*peccavimus*" obiecując poprawę. Gorżkie to zaprawdę słowo a fakta tem przykrzejsze, że wielka część ubitych rogaczy, lisów i zajęcy padła od kul, strzałów przeto celnych i pewnego oka nie brakło w naszem gronie, a przecież zając od niedźwiedzia mniejszy a lis się ciszej wykrada. To odwrotna strona medalu, dodatni zaś rezultat stanowi: dzików 7, rogaczy 12, zajęcy 52, lisów 21, kuna 1, cietrzew 1, jarząbków 23, słonek 14, sów uralskich 13, razem sztuk 144. Knieja swoje zrobiła, a jeszcze o wiele więcej zrobić chciała. Dodać należy, że w ostatnich dniach słota nam niezmiernie utrudniała polowanie a nawet zmusiła nas skrócić takowe o trzy dni, co nas tem niemilej dotknęło, że właśnie w ostatnim dniu, trafiliśmy w górskich rewirach na liczne stada dzików, z których jeszcze kilka bylibyśmy mogli ubić. Jednym z większych uroków kniei Lisowickiej jest niewątpliwie ta niezwykła różnorodność zwierzyny, obok bowiem grubego zwierza, jako to niedźwiedzia, rysia, wilków, dzików, jest tam także obficie i drobnego pogardzanego szaraka. Niewielka stosunkowo ilość ubitej, według miejscowego narzecza „dribnoj żwirki" wytłumaczy łaskawy czytelnik tem, że w kniejach tego rodzaju, rogacz, zając a nawet lis tracą swój zwykły powab i chętnie się ich puszcza bez strzału. Jednego dnia wszelakoż urządziliśmy sobie dla odmiany drobne polowanie, strzałów padło 108 w jednym dniu ubito: 17 zajęcy, kilka lisów i rogaczów i kilkanaście jarząbków i słonek. Głośno i huczno było wtedy w kniei, ale Lisowczycy tęsknili za tą ponurą, poważną ciszą w borze, kiedy to tylko od czasu do czasu padnie strzał jeden i drugi, ale już wtedy do zwierza. Dla porównania przypominamy opisy polowań na Litwie i w innych kniejach, rozumię tu polowanie na niedźwiedzie, wyprawa złożona z kilkunastu myśliwych, polowanie trwa nieraz kilka tygodni i myśliwi uważają, że wynik pomyślny, jeźli się spotkają z niedźwiedziem, o innej zwierzynie nie ma nawet i mowy. O ileż piękniejsze nasze łowy z całą swą rozmaitością! Pomimo tego zdarzało mi się niejednokrotnie spotkać z zarzutem, że w Lisowicach mało się strzela: „piękne to polowanie, 8 dni polował i zabił niedźwiedzia albo rysia i kilka drobnych sztuk, już ja wolę zabić dziennie 15 za-

jęcy i t. p.“ Tym panom strzelaczom odpowiem słowami Wojskiego:

„Żaden szlachcic przenigdy nie wziąłby do ręki
Strzelby, którą shańbiono sypiąc w nią śrut cienki“.

Lecz *tempora mutantur!*

Wilków obecnie w naszych rewirach nie ma, nie prosimy też św. Huberta o ten dar, zwierz ten bowiem jakkolwiek stanowi łup wspaniały, w górach jednak niesłychanie trudny do zastąpienia w miocie, rzadko pada ofiarą strzału, a tępi wszelką zwierzynę niezmiernie, rysie natomiast robią nam niemałe szkody, równie jak i kłusownicy, którzy w naszym powiecie dolińskim w ostatnich czasach zaopatrzeni w karty na broń (Waffenpassy), całemi bandami buszują po naszych lasach i bezkarni są przed pogonią straży łowieckiej i żandarmeryi, kierowanej energiczną i sprężystą ręką komendanta oddziału p. rotmistrza Franciszka Piechowskiego, przeniesionego obecnie podobno z awansem na inne stanowisko służbowe. Żegnając się z nim i dziękując mu za tyle przychylności nam okazywanej, żywimy niepłonną nadzieję, że i jego następca, w granicach ustawą dozwolonych, nie odmówi nam swej opieki przeciw bezprawiom uprawnionych kłusowników.

Grono nasze w obecnym roku utraciło długoletniego towarzysza i szczerego przyjaciela w osobie nieodżałowanego ś. p. Wacława Hudetza, zmarłego w Przemyślu dnia 17. Września b. r. Lisowczycy ciężko odczuli stratę ś. p. Hudetza, który polując z nami od lat dawnych, umiał być każdemu szczerym przyjacielem, zawsze miłym i wesołym towarzyszem a młodszym mentorem w zawodzie myśliwskim. Na uczczenie jego pamięci został wygłoszony następujący wiersz:

Cieniom Wacława Hudetza.

Znowu się wieko rozwarło mogiły,
I anioł śmierci pośród nas się zjawił,
I skinął skrzydłem, a towarzysz miły
Odszedł na zawsze — nas w smutku zostawił.

My dziś bez niego zeszliśmy się społem
Wrzekomo jak dawniej wesoła gromada,
Ale za druhem nad niejednem czołem
Żal niekłamany pomroką osiada.

Podobnie w boju, gdy kula działowa
Siejąc zniszczenie pędzi w chyżym biegu,
Niejedna wówczas pochyli się głowa,
Niejeden żołnierz padnie wśród szeregu!

Jęknął i skonał — wnet szereg się ściska
I zwarto stoją znów roty na błoni,
Mężnie jak wprzódy — lecz z oka łza błyska
Za tym co poległ towarzyszem broni.

Tak też i u nas tęskno jakoś w duszy
I trudno rozstać się z rzewnem wspomnieniem,
I oko szczerą też łzą się zaprószy
I Lisowczyka pierś wzbierze westchnieniem.

Lecz nie zaginie w fali zapomnienia
Ten, co żył z nami wśród trosk i wesela,
Bo nam przekazał w przyszłe pokolenia
Wzór myśliwego i wzór przyjaciela.

— Bo chociaż obcy Tyś tak zrósł się z krajem,
Żeć matką była ta polska gościna,
Co wywdzięczając się tobie nawzajem
Tak przygarnęła jak własnego syna.

A polskie serca — to nie Niemca rządy,
Który każdego skąd może wypiera,
Inne też u nas czucia i poglądy,
I inna przyjaźń i otwartość szczera.

Ty dzisiaj bawisz na polach Wallhalli,
Tyś dzisiaj łowcem już nie tego świata,
Lecz Ci co Ciebie za życia kochali,
Tak teraz tęsknią jak po stracie brata.

Więc raz ostatni żegnając się z Tobą
Stąd Ci łowieckie ślemy pożegnanie:
Dwanaście sztućców niech zagrzmi żałobą
I niech łowieckich trąb ozwie się granie:

Zagrzmiały sztućce! — Gór szczyty podniebne
Odwtórowały ze zdwojoną siłą,
Jęknęły trąbek odgłosy pogrzebne
Ponurym chórem nad łowca mogiłą!

Więc żegnaj nam, żegnaj! — My spieszym na łowy,
Trąbka łowczego nas wzywać zaczyna,
I tymi żalu serdecznego słowy
Dziś Lisowicka żegna cię drużyna!

Zygmunt Pietruski.

Stada i hodowle koni na Podolu*).

1. Stado Aleksandra Sadowskiego, syna ś. p. marszałka Sadowskiego, znanego i zasłużonego hodowcy koni wschodnich. Umieszczamy to stado na pierwszem miejscu nie dla dzisiejszego jego stanu, ale dla tego, że z niego wzięło początek i kierunek stado, które dziś prym trzyma między wszystkiemi stadami południowo-zachodnich gubernij. Niegdyś stado to, za życia ś. p. marszałka, miało świetne czasy. Krew sprowadzonych z Arabii przez hr. Juliusza Dzieduszyckiego ogierów, płynęła w tych koniach za pośrednictwem; 1) *Stepa* syna Kohejlana, 2) *Pielgrzyma II.* wnuka Beni-Bagdada, 3) *Elkara*, syna Abu-Cheila. Konie wychowywane były po spartańsku, dużo przepadało, ale co zostało to było nie zmęczone. Dawniej stado liczyło pięćdziesiąt klaczy, po śmierci zaś nieodżałowanego marszałka, zredukowano do dziesięciu matek, z zachowaniem czysto wschodniego typu. Jako reproduktory używają się: oryginalny arab *El-Bedevi* i wnuk *Obejana srebrnego* złotobułany własnego chowu. Po zredukowaniu stada nastąpiła

*) Pod słowem stado rozumiemy system wychowania, gdzie klacze nic nie robią, tylko się pasą przez całe lato. Pod słowem hodowla określamy system wychowania młodzieży przy użytkowaniu matek.

zmiana w systemie wychowania; konie są lepiej karmione i wyrastają większe. Stado ulokowane jest w majątku *Krasnosławce* (poczta Żerdzie).

2. Stado Ludwika Sadowskiego. Największe stado koni rasowych w Podolskiej gubernii powstało z klaczy nabytych ze stada ś. p. marszałka Sadowskiego i ze stad ks. Sanguszków w Satanowie, Sławucie i Antoninach. Konie czystej krwi arabskiej chowane i pielęgnowane starannie, dochodzą znacznego wzrostu i bywają poszukiwane przez oficerów różnych pułków, służąc potem za ozdobę frontu. Po za tem idą do remonty gwardyi, gdzie pomimo swej drugorzędności bywają wielce cenione, jak to dostatecznie świadczą złote medale, uzyskane za najlepsze w Rosyi remonty. Stado się składa z czterdziestu pięciu klaczy; z tych trzydzieści czystej krwi arabskiej, a przychówek od nich po arabach oryginalnych przeznacza się pod wierzch lub do reprodukcyi. Pozostałe piętnaście klaczy z angielską krwią w swych żyłach, mają stanowić podstawę racyonalnej hodowli półkrwi. Dawniej używano tu ogierów z Krasnosławców, dziś zaś używają oryginalnego ogiera arabskiego *El-Bedevi*, oryginalnego arabskiego ogiera *Hamdani*, czystej krwi araba *Bosfora*, syna janowskiego *Bakczyseraja*, a w produkcyi półkrwi folbluta angielskiego *Zorga* syna *Wieszczuna*. Stado sprzedaje rocznie około dwudziestu koni, w tem zawsze kilka ogierków. Posiada pięć złotych medali uzyskanych na wystawach i za remonty i dwa srebrne. Ulokowane jest w miasteczku Balinie.

3. Stado Gotharda Dwernickiego. Szesnaście klaczy z typem frontowego konia, łączone na przemian z ogierami to angielskiemi to arabskiemi, stanowią podstawę stada. Młodzież hojnie karmiona, wyrasta dobrze, a Dwernicki osięga za swoje konie w przecięciu najwyższą cenę ze wszystkich podolskich hodowców; stado umieszczone w miasteczku Hukowie (poczta Kamieniec Podolski).

4. Stado Szczęsnego Sadowskiego. Dwadzieścia klaczy przeważnie ze stad ks. Sanguszków, i część pół-krwi angielskiej z typem koni zaprzęgowych. Cel hodowli — paradne konie zaprzęgowe. Młodzież doskonale karmiona, dochodzi do bardzo dużego wzrostu, jak na konie rasowe; parę a choćby cztery konie dobrane, można tam zawsze znaleść. Ogier obecnie stanowiący *Boli-bok* pochodzi z jakiegoś rasowego stada w Połtawskiej gubernii, a jako protoplasta całego stada dobrych koni zaprzęgowych jest wielce zasłużony. Stado ulokowane w Jaromirce, poczta Gródek podolski.

5. Stado Ostolskiego. Kilkanaście klaczy czystej krwi arabskiej ze stad ks. Sanguszków i hr. Branickich. Hodowla rasowych i pięknych koni oryentalnych ale często wadliwych, tak jak produkcya stad w Sławucie i Białej Cerkwi masę wadliwych ogierów w świat puszcza, które swe wady przekazują innym stadom. Ktoby pragnął wysokiej krwi, tam szukać ją może, chociaż o ile słyszeliśmy pan Ostolski bardzo nie dużo koni sprzedaje. Stado umieszczone w okolicy Baru w Wołkowińcach, stacya kolei Odeskiej.

6. Stado Władysława Biskupskiego w Kazimirku (st. p. Proskirów), trzydzieści klaczy zaprzęgowo-roboczych; cel hodowli lekkie zaprzęgowe i wierzchowe do remontu. Ogiery pół-krwi angielskie z depo w Balinie.

7. Hodowla Starorypińskich w Karabczyjówce (st. pocztowa Tynna); trzydzieści klaczy zaprzęgowo-roboczych, ogiery pochodzenia oryentalnego, cel — konie robocze lekkie i zaprzęgowe; rezultaty tej hodowli znakomite i takiemi końmi roboczemi jak panowie Starorypińscy nikt w całej gubernii pochwalić się nie może. Konie wyszłe z tego stada zdumiewają swą wytrwałością.

8. Stado Zygmunta Modzelewskiego w Łyszkowcach (st. p. Tynna); trzydzieści klaczy roboczych, stanowionych na przemiany anglo-rysakami, orłowskiemi wierzchowemi, perszeronami, ardenami i arabami sławuckiemi, w ostatnim czasie zdecydowano się ostatecznie na anglo-normandy, a stajnia hr. L. Krasińskiego zasiliła naszą stacyę doświadczalną w reproduktorów. Cel — największy możliwy koń zaprzęgowy. Przychówek zużytkowuje się prawie w zupełności na potrzeby stajen właściciela.

9. Hodowla Narcyza Makowieckiego w Proskirówce (poczta Zińków). Ośm klaczy dużych roboczo-zaprzęgowych, ogiery na przemiany to angielskie, to arabskie, cel — duży koń zaprzęgowy.

10. Hodowla Zygmunta Giżyckiego w Izabelinie, poczta Wołoczysk. Dwanaście klaczy roboczo-zaprzęgowych, przeznaczonych do produkowania szlachetnych koni półkrwi pod wierzch i do zaprzęgu. Używany tam ogier Lafet, folblut angielski, syn Lesi-fello, zostawił dużo obiecującej młodzieży.

11. Hodowla Kazimirza Czerwińskiego w Olchowie, pocz. Husiatyn. Dwadzieścia klaczy zaprzęgowo-roboczych, przeznaczonych do produkcyi szlachetnych koni pół-krwi. Ogiery używają się arabskie białocerkiewskie lub angielskie, koni mało się sprzedaje, przeważnie na swój użytek.

12. Hodowla Kajetana Abgarowicza w Oleksińcu-polnym, p. Jarmolińce. Trzy klacze czystej krwi arabskiej, trzy anglo-arabskie, a sześć pół-krwi angielskich, używanych do roboty. Ogiery używane na przemiany angielskie i arabskie. Cel — koń wierzchowy i koń do lekkiego zaprzęgu. Osobniki niedorastające wymaganej miary zużytkowują się jako konie robocze; sprzedaje się dotąd mało z powodu, że hodowla jest bardzo początkującą.

13. Stado Giżyckich w Braże, poczta Żwaniec. Dwanaście klaczy roboczych z typem wschodnim, dużych i bardzo wytrzymałych; cel — konie zaprzęgowe szlachetne. Ogiery rządowe oryentalnego pochodzenia. Koni sprzedaje się dość dużo.

14. Stado Bolesława Górskiego w Jankułowie na Pobereżu, p. Jampol; klacze czystej krwi karabachskiej i oryentalne ze stad Sadowskich, reproduktor sprowadzony karabach. Cel niewiadomy.

15. Stado rotmistrza Wacława hr. Czosnowskiego w Bożykowcach, st. poczt. Żeniszkowce. Dwadzieścia klaczy roboczych, ogiery oryentalne, cel — konie do lekkiego zaprzęgu.

16. Hodowla hr. Mierzejewskiego w Harmakach, p. Żeniszkowce. Pięć klaczy czystej krwi arabskiej, ogier oryginalny arab, cel — wychowanie szlachetnego wierzchowego konia.

17. Stado Władysława Radziejowskiego w Tereszkach, p. Bar lub Wołkowińce. Dwanaście do piętnastu klaczy zaprzęgowo-wierzchowych, ogiery rządowe na przemianę, stosownie do potrzeby, to angielskie to arabskie. Cel — konie wierzchowe i zaprzęgowe. *(Hodowca).*

NA ZIELONEJ

PRZEZ

ALEXANDRA UBYSZA.

(Dokończenie.)

Lasy mojej opiece powierzone rozlegają się na przestrzeni 900 morgów i bezpośrednio łączą się z lasami Prusinowa i Tehlowa. Grunt tu osobliwie w części, przytykającej do błot Bełzkich i Witkowskich, moczarowaty, a ponieważ poprzednicy moi dozwolili w niektórych miejscach zbyt zgęścić się lasowi i doczekali się nadmiernej sędziwości drzewostanu, potworzyły się zwaliska nie do przebycia. Przy silnem wietrze niebezpiecznie było tu się znajdować, korony drzew gałęziami splątane łamały się z przerażającym trzaskiem, drzewa stare, wewnątrz spróchniałe, waliły się z łoskotem na ziemię tworząc zasieki olbrzymie. Gdym tu przybył, mnóstwo wilków kryło się w owych matecznikach, a środek tego lasu stanowił trakt wilczy z pobliskich Mosteńskich, Bojanieckich, Choronowskich i Chliwczańskich lasów ku borom za błotami leżącym Staj, Witkowa, Machnówka, Ulwówka, Lisek aż ku niedalekim lasom ordynacyi Zamojskich i innym w Królestwie Kongresowem. Pochody tych band szły tam lub do nas, a zawsze w lasach przypadał wypoczynek, znaczący się ubytkiem zwierzyny lub dobytku włościańskiego. Przybyłem tu na kilka dni przed Bożem Narodzeniem, żona moja żyła jeszcze podówczas, a i syn Tadeusz przyjechał ze szkół lwowskich na święta. Z wyjątkiem karczemki w pobliżu i chaty gajowego, którą jako zbyt odległą od granic zniosłem i przerobiłem na stacyę dla żebraków z nazwą „diducha“, nie było w koło na przeszło milę żadnej zagrody w pobliżu leśniczówki. Prócz dosyć licznego inwentarza, przywiodłem był troje ogarów rosłych i ciętych, osadzających dziki i nadzwyczajnie czujnych. Zima była mroźna i zawalna. Pierwszej nocy po sprowadzeniu się mojem na tę leśniczówkę około 2giej godziny w nocy, usłyszawszy gwałtowne ujadanie psów, wyszedłem uzbrojony w strzelbę, sądziłem bowiem, że złodziej podkrada się do fur, które z powodu spóźnienia nie wyładowano. Jeden z gończych skomląc skrył się po za mnie, dwoje zaś przesadziwszy płot, pomknęły w las, ale po chwili ucięły z jękiem żałośnym. Nazajutrz gajowy, który świtem obszedł swoją połać lasu, raportował mi, że „wydżu naszi sobaki wowky ułowyły, bo ich nema i znajszowjem oborożku z Dunaja“. Istotnie była to obróżka mojego ogara, obadwa psy padły ofiarą wilczej zasadzki, przyczem jednego wysyłają w celu wywabienia psów z ogrodzenia, ucieka on niby, psy rwą się za nim, a gdy się zbyt oddalą, opada je zgraja wilków i rozszarpuje w szmaty, poczem każdy z kęsem w paszczy uchodzi w las. Przed wielu laty, gdym był jeszcze praktykantem leśnictwa koło Turki, straciłem psa rzadkiej naówczas i nader cennej rasy św. Gotarda tym sposobem. Pies to był olbrzymi, włochaty, maści burej, w pojedynkę dusił wilki, zimą i latem nocował na dworze u progu domu leżąc. Pewnej nocy był „Dzidzi“ (tak się nazywał) bardzo niespokojny szczekając nieustannie. Nazajutrz po za ogrodzeniem znaleziono po nim tylko mnóstwo włosa i krwi, wilki go pożarły wywabiwszy z zagrody. Żałowałem go bardzo, niemniej też i teraz żal mi było psów w kniei dowodnych i stróżów doskonałych. Lubo ja jestem rusinem, to jednak idąc za obrządkiem mojej żony obchodziłem wilję rzymsko-katolicką. Właśnie zasiedliśmy do wieczerzy, gdy wszczął się okropny ryk i wrzawa. Wybiegam z domownikami, wpadamy do stajni, przy świetle latarni znajdujemy jałówkę z rozprutym brzuchem, z którego wnętrzności wyszły. Nie mogliśmy odgadnąć, co się stało, może inna krowa rogiem ją ubodła. Okazało się wszakże przy bliższem badaniu rzeczy, że to wilki wygrzebały jamę pod ścianą stajni bez podwaliny, wpełzły nią do wnętrza, zaatakowały krowę i po naszem przybyciu uszły. Podobne wypadki powtarzały się nieraz, zapobiegłem im silnym dębowym częstokołem. Pensya moja nie wielka z dodatkiem około 10 morgów pola, dawniej polowanie należało wyłącznie do mnie, dziś zwierzynę pożyteczną zawarował sobie Magistrat Bełzki a raczej burmistrz, tylko wilki i lisy przynoszą mi dochód. Brałem wilki wyżej wspomnianym sposobem lub trułem je wroniem okiem i czerwonym arszenikiem. Dziś po latach 15tu mojego tu pobytu mam 5 stadek sarnich, w każdem mniej więcej sztuk 15. Dziki są miejscowe lub przechodnie, zwłaszcza gdy żołędź obrodzi, te jako szkodniki należą do mnie, więc w spiżarni mojej mięso i słonina z nich się przechowuje. Swojskie moje świnie zmięszały się z dzikami. Jedna duża locha odhukała się z odyńcem i pomiotła 9 prosiąt burych z centkami jak dziczęta. Dobra taka mięszana rasa, ale tłuszcz z niej przerastały, a wewnętrznego sadła, kiszkowego bardzo w niej mało. Gdy swojskie świnie pójdą w jesieni do lasu na żołędź, to najczęściej przyłączają się do dzików i już nie wracają. Lochy, a szczególnie knury z takiej mięszaniny bywają zwykle złośliwe dla ludzi a nawet dla zwierząt domowych bardzo niebezpieczne. Przez całą zimę poluję na dziki, wilki, lisy, kuny i wydry w celu ich tępienia i korzyści z nich. Obecnie posiadam dwie swory gończych i kundysa wybornego na wydry. Mój „Gryż“ sam się nauczył chodzić na wodę i nurza się w niej doskonale. Gdy rzeka Sołokija, płynąca błotami Bełzkiemi i Witkowskiemi, nie zamarznie, a otropię na małym śniegu wydrę, ruszam z Gryziem uzbrojony w trójząb żelazny, którego boczne zęby dłuższe, środkowy zaś znacznie krótszy w tym celu, aby gdy pies wydrę zatrzyma i pochwyci, dłuższe zęby wbić w ziemię, krótszy zaś w ciało zwierza. Gryź nigdy nie chwyta wydrę za kark, aby się nie narazić na ostre jej zęby i pazury, lecz dorywczo za inną część ciała, przyczem szybko się w koło niej obraca. Gdy wydra w wodzie szuka ocalenia, Gryź bez namysłu rusza za nią, nurza się i poczyna się podwodna walka, z której pies najczęściej wychodzi zwycięzcą i aportuje żywą jeszcze lub martwą już wydrę. Ten pies złota wart, za skóry wydr i kun, które wytropił i przytrzymał, wziąłem już przeszło 200 zł. Nie ubliża memu klejnotowi ten zarobek, a jam szlachcic herbowy choć szaraczkowy, pochodzę z Czajkowic podsamborskich. Ale oto zajechała fura chłopska z chorym. Bo to ja nauczyłem się leczyć jeszcze od matki, a i sam znam zioła skuteczne w chorobach.

Oddalił się leśniczy ku furze, ja też za nim podążyłem. Gdyśmy się zbliżyli do wozu, zajęczał leżący na nim chłop: „Pecze mene w hrudiach, a młoit pid serciom tak, że trochi ne zhynu. I chrest za mnoju chodył, ałe chodył i did'ko, a pidyże het, win siw na wozi taj sia naśmiwaje. Pek tobi, szczezaj wo imia Otca — ot ne możu sia perechrestyty, ruky maju zwiazane“. Na to leśniczy rzekł z całą powagą: „Szczezaj neczystyj wo imia Otca i Syna i Ducha światoho amin“. — „O! o! — przemówił chory z głupowatym uśmiechem — wże wtikaje, a jak ubraw sia niby nimeć, niby żyd“. Leśniczy udał

się do domu i wnet powrócił niosąc z sobą spory pęk ziela „Valerianum“ i rzekł do chorego: „Czujesz Wasylu, zapamiataj, szczo tobi każu. Toje zile zwaryty w nowym horczku i pyty try razy na deń, ałe pered tem pijdit do jegomości ksiądza, wyspowidajte sia i prysiahnit, szczo horiwku czerez piw roku pyty ne budete, po piwroci jak schoczete, to i na cile żytie. Ważnaja ricz, szczobyśte jak najborsze na obistju waszom postawyły takij sam chrest, jak pry dorozi do Sokala, inacz neczystyj bude za wamy chodyty i umrete do dwóch nedil. Teper id'te a zrobit szczom prykazaw“. Pijak nałogowy odjechał na pół uzdrowiony, a leśniczy rzekł do mnie: „Na chorobę ciała zioła, a na chorobę duszy w strasznym nałogu dobre słowo“.

Po smacznym obiedzie, przyrządzonym przez samego leśniczego, towarzyszyłem mu do chorego, straszliwie pokąsanego przez pszczoły, którego poprzednio obłożył drobno posiekaną i pognieconą łodygą pietruszczaną. Zdziwił mnie bardzo skutek tego leku, puchlina sklęsła, zbladła, a chory począł mówić dopraszając się wody, zamiast niej dostał spory garnek zimnego kwaśnego mleka. Leśniczy rzekł mi: „Tego sposobu leczenia ukąszeń wszelkich, nawet najbardziej jadowitych, nauczyłem się w Węgrzech. Kapitana i trzech szeregowych podczas musztry na jakiemś uroczysku, pełnem gniazd os, skąsały one straszliwie, kapitana leczył nacią pietruszczaną młynarz miejscowy, szeregowych odwieziono do bliskiego szpitala wojskowego. Z tych jeden umarł trzeciego dnia, dwaj inni ciężko chorowali przez kilka tygodni, kapitan lubo najbardziej skąsany, drugiego dnia był zdrów zupełnie“.

Majster Ludwik d'Effée, którego leśniczy różnymi środkami starał się wyleczyć z nałogowego pijaństwa, wytrzeźwiwszy się reparował moją uprząż. Gdym do niego przyszedł, wykrzykiwał: „Vive le roi, vive l'empereur, vive la republique“, poczem spiewał, jak twierdził, Marsyliankę.

Po wieczerzy udaliśmy się na spoczynek, leśniczy do swego alkierzyka, a mnie pościelono na sofie w bawialni. Leśniczy wnet chrapał, ja zaś nie wiem z jakiego powodu, może odurzony silną wonią asklepii, stojącej na oknie, nie spałem do późna. Noc była parna nieco, prawdziwie lipcowa, ciemna. Po za oknami niby gwiazdki ruchome świeciły muszki świętojańskie. Cisza była głęboka, w tem słyszę lekkie pukanie w okno kuchenne i następującą rozmowę szeptem prowadzoną: „A szczo tam staryj?“ — pyta głos męski. „A łychyj — odpowiada Semko — na was sia serdyt, nyma komu isty waryty, a jakijś pan czużyj pryichaw tutki, staryj nawet Handzi ne pohładyw i nepociłowaw“. Cóż to za Handzia pomyślałem, może w starym piecu djabeł pali. Ucichło, właśnie począłem drzemać, gdy od lasu ozwał się głos trąbki, zrazu myślałem, że to kurjer lub sztafeta pędzi, ale to jakieś potpouri złożone z melodyj Ständchen Schuberta, Traviaty, Trubadura, uroczo wpadające w ucho. Rozrzewniło mnie to i rozmarzyło, słucham z natężeniem, w tem z alkierza odzywa się głos: „Pan nie spisz, słyszałeś pan, wiesz, kto to grał — to ten szelma Aftanas, pijak“. Zapaliłem świecę, po chwili wszedł do mnie gospodarz, na którego obliczu znać było świeże łzy. „Trzeba panu wiedzieć — mówił z dziwnie rzewnym uśmiechem, nie odpowiadającym wcale poprzedniemu przekleństwu — ów Aftanas służy u mnie od lat dziesięciu. Dziwna to natura tego nałogowego pijaka, ale dobrego i nieszczęśliwego człowieka. Dostał on się tu w następny sposób. Droga wiodąca przy samej leśniczówce, zwana biskupią, rzadko bywa zwidzaną przez panów okolicznych, nazwałbym ją raczej dziadowską, jarmarczną, odpustową i praźnikową. Żebracy z całej niemal okolicy ciągnąc na odpusty do Sokala, Waręża, Bełza lub dalej aż za kordon, idą tędy. Przed 12 laty była leśniczówka istną stacyą dziadowską, żona moja i ja nie twardego serca nad możność rozdawaliśmy jałmużny, wreszcie sprzykrzyło mi się to, więc przeniosłszy gajówkę w inne dogodniejsze miejsce, opróżnioną urządziłem na stacyę dziadowską. W zimie osadzam w niej jakiego starego, ale uczciwego żebraka, dostarczając mu drzewa na opał i żywności dosyć spory zapas dla niego i dla żebrzących przybłędów. Nazwałem też tę chatę „dziadówką“. Odtąd żaden dziad u mnie się nie jawi, lecz idzie wprost do dziadówki. Owoż przed 10 laty, a żyła jeszcze wówczas moja żona, przybył do nas żebrak nie stary jeszcze, ale mocno schorzały i obdarty. Kazałem go zaprowadzić na stacyę, diadko, gospodarz ówczesny na dziadówce, przychodzi i donosi, że przysłany żebrak ciężko zachorował i pozostać musi i że pragnie koniecznie ze mną się widzieć. Gdym przybył, żebrak ów istotnie chory błaga mnie, bym wysłuchał jego spowiedzi przed niezawodną śmiercią. Mówi tedy, że pochodzi z Podola, gdzie służył we dworze przy kuchni, ale umknął ztamtąd prześladowany przez kucharza. Wstąpił do wojska, wyszedł do Pragi czeskiej, gdzie jako wątły pełnił służbę u kapitana. Ponieważ w domu jeszcze u matki nauczył się grać na skrzypcach i na piszczałce, więc na usilną jego prośbę, kapitan oddał go do muzyki wojskowej. Nauczono go grać na trąbce pistonowej (Flügelhorn), ale w żaden sposób nie mógł się nauczyć czytać nut, więc pragnąc uwolnić się od kary, udawał, że je czyta, a właściwie od razu zapamiętawszy, grał z pamięci. Jakoś się udawało, ale przyszła i na niego kreska. Naprzeciw koszar była traktyernia, gdzie służyła ładna dziewczyna, w której rozkochał się szalenie i zyskał jej wzajemność. „Po roku tego stosunku — opowiadał — moja miła jakoś oziębła dla mnie, poczęła się dąsać, napróżno staram się ją przebłagać, wreszcie widzę, że mizdrzy się widocznie do kaprala. Szalałem z rozpaczy, straciłem pamięć, grać nie umiałem, sypały się areszta, kije, w końcu zachorowałem i oddano mnie do szpitala. Myśląc tylko o niewierności mojej kochanki wyprosiłem u dozorcy pozwolenie wyjścia do miasta i ruszam zmrokiem do restauracyi, gdzie zastałem moją Kati całującą kaprala. Rozszalały pchnąłem ją bagnetem w samo serce. Zchwycono mnie, nim zdołałem toż samo sobie uczynić, odprowadzono do stokhauzu a ostatecznie skazano na 8 lat fortecy. Po pięciu latach ułaskawiony wyszedłem na świat. Nie chciałem wracać do wsi rodzinnej okryty hańbą, wyrzekłem się gruntu po matce. Szukałem służby, ale któż przyjmie fortecznego więźnia, nikt nie chciał wierzyć usprawiedliwianiu mej zbrodni. Włóczyłem się od wsi do wsi, szukając służby kucharza — naprózno, nawet chłopi mnie cierpko odprawiali. Wreszcie żyd, którego nie raziły moje papiery, wziął mnie do służby. Było to w pobliżu granicy rosyjskiej. Wieś i karczma leżała w pobliżu rzeki Zbrucza. Pewnego dnia pyta mnie żyd, czy umię jeździć konno, dał mi kielich okowity i namawiał, abym się starał zaprzyjaźnić z służbą dworską i częstować ich wódką. Gubiłem się w domysłach, do czego dąży, zapewne tylko do zysku z pijatyki. Żyd dowiedziawszy się, że gram na skrzypcach, kupił mi je, dodał basistę pijaka i bijącego w bębenek „reszitkara“. Łatwo wszedłem w przyjazny stosunek z dworskimi, którzy, gdy w pałacu i ekonomii spać się ułożono, na koniach cugowych galopem przyjeżdżali do karczmy. Konie stały w stajni przy próżnych żłobach, a służba piła i hulała po całych nocach, a ja im przygrywałem na skrzypcach. Żyd mój gospodarz chodził często za Zbrucz do Tarnorudy, miasteczka nadgranicznego, a mnie kazał za sobą nosić baryłkę lutrowanej wódki, którą zo-

stawialiśmy w lichej karczemce za Tarnorudą. Pewnej nocy służba piła w karczmie, żyd daje mi klucz od stajni dworskiej, każe z niej wyprowadzić konie i odstawić do owej karczemki za Tarnorudą. Zawrzała we mnie złość piekielna, ogromnym kluczem uderzyłem żyda w głowę raz i drugi, a on powalił się, jęku nawet nie wydawszy z siebie. Byłem pewny, żem go zabił, zabrawszy przeto szczupły węzełek moich rupieci, wyrzekając się papierów, które były u żyda, ruszyłem w ciemną jesienną noc w świat. Przyszedłem w okolicę Brodów. Lasem dążąc do bliskiej wsi spotykam chłopa, uzbrojonego w starą, sznurkami pościąganą rusznicę. „A z widky didu“ — pyta on. „Ze świta“ — odpowiadam żebraczym zwyczajem. „Ej baczu takij mołodyj, a chodyt po proszenym“ — dodał uśmiechając się i bystro w oczy mi spoglądając. — „A ja staryj, ni gruntu ni chudoby ne majuczy, a żyju dobre, *płuh i czeresło, ne moje remesło*, ot mij płuh i czeresło“ — rzekł wskazując na lichą swoją strzelbinę — „wyże didu umijete strelaty?“ — „Czomu ni, umiju“ — odrzekłem. „Ano strybujmo (próbujmy), a hołodnyśte?“ — „Oj duże“ — odpowiadam. Chłop dobył z płóciennej torby sporą flachę wódki, chleb i kawał sera i szperki. Posiliłem się, poczem rzecze chłop: „Teper stańte tu, a ja pijdu w lis, hde sarny zatehły, jak wyjdut, strilajte“. Poszedł w gąszcz, istotnie po chwili wyszło stadko sarn, 7 sztuk, zaczekałem aż się skupiły, poczem strzeliłem. Nabój był ogromny, trącił mnie w ramię, aż w uszach zadzwoniło, jedną sarnę na miejscu zabiłem, drugą śmiertelnie postrzeloną schwytałem i dobiłem. Zjawia się chłop pytając: „A szczo?“ Wskazałem mu dwie martwe sarny, czem się wielce uradował. Zanieśliśmy łup do chaty chłopa, stojącej u końca wsi w pobliżu lasu. Tej samej nocy odwiózł go chłop wraz z trzema zającami i 6 kuropatwami, które sam zabił, do Brodów, a wróciwszy przywiózł mi dubeltówkę. Zostałem tedy kłusownikiem. Znałem wiele sposobów chwytania w siłki ptactwa, zajęcy na kluczki, sidła sporządzone z mosiężnego drutu. Zwierzyny było dużo, wyższa straż leśna państwa Brodzkiego opieszale strzegła lasu, z niższą służbą w przyjaźni był mój gospodarz Hryhoryj, więc buszowaliśmy po polach i lasach swobodnie. Wnet dokładnie znałem całą okolicę, wszystkie drożyny, ścieżki i przesmyki, jakoteż słupy graniczne między Rosyą a Galicyą, stojące śród gęstego lasu. Ze zwierzyny żyliśmy dostatnio Gospodarz miał żonę i 5 dzieci. Kłusownictwo dawało suty, ale czasem niebezpieczny zarobek. Raz w nocy przy jasnem świetle księżyca, poszliśmy z Hryhorym w las nastawiać i zbierać pochwycone w kluczki zające, które nam często lisy zabierały. W razie zagrażającego niebezpieczeństwa mieliśmy się ostrzegać nawzajem parskaniem walczących z sobą gachów zajęcy, hukaniem sowy lub innym głosem zwierzęcym. Idziemy tedy, a Hryhoryj wskazuje, gdzie kluczki nastawił, zabraliśmy dwa zające i ruszamy w chrustniaki leszczynowe, gdzie na „dopłakach“, ścieżynkach wydeptanych przez zające, zakłada się zwykle sidła. W tem w gąszczy spostrzegam człowieka, błysnęła lufka jego, poznałem leśniczego, „zagmekałem“ więc jak wabiący się rogacz w celu ostrzeżenia Hryhorego. Zaszeleściało w krzakach, padł strzał, Hryhory „poszpotnął“ się, ale chwyciłem go pod pachy i uciekliśmy do chaty. Strzał był śrótowy, daleki, więc rany po nogach jakkolwiek gęste, nie były niebezpieczne. Hryhory zawinił, bo nie przestrzegał koniecznych ostrożności, nie zatarł swych śladów, co zwykle czyniliśmy zasiewając ślady śniegiem z przetaka. Hryhory przez trzy niedziele goił rany nie wychodząc na łowy, czyniłem to więc sam, rzadko kiedy wracając z próżnemi rękami. Pewnego dnia Hryhoryj wróciwszy z Brodów, gdzie nosił zwierzynę, mówi do mnie: „Czujete Aftanas, pidemo do Brodów, traflaje sia dobryj zarobok, budemo paczkaramy“. Zgodziłem się na to, w Brodach zawarliśmy ugodę z żydami przenoszenia towarów za granicę rosyjską. Udawało się, żyliśmy przez dłuższy czas jak panowie, bo żyd złodziejowi i przemytnikowi dogadza według przypowieści „jak wrzodowi“. Rozpiliśmy się oba. Jednej nocy niesiemy jakąś ogromną i ciężką pakę towarów. Noc była ciemna i wietrzna, las szumiał, pora to najlepsza dla przemytnika. Właśnie przekraczamy pas graniczny, gdy nagle obskakują nas objeżczyki, więc uciekamy, lotki świszczą nad głową, ja uszedłem, Hryhorego złapali. Pomknąłem aż do Chołojowa, zawlokłem się aż tu, gdzie niechby mnie już śmierć spotkała“. Wyleczyliśmy go wraz z żoną — mówił dalej leśniczy — i przyjęliśmy do służby w domu. Szczególnie w kuchni wyborne robił usługi. W czasie długotrwałej choroby mojej żony złożył Aftanas dowody swego poczciwego serca, nie tylko był najwierniejszym sługą, ale stał się przyjacielem domu. Wskutek rady lekarskiej odwiozłem moją żonę na kuracyę do Lwowa, później do Wiednia, podleśniczy, w innem miejscu zamieszkały, pełnił moje obowiązki, a Aftanas pozostał sam na leśniczówce, jako stróż mego mienia i gospodarz. Często pisywał do mnie troskliwie dopytając się o stan zdrowia mojej żony. Niestety nie było dla niej ratunku, umarła wracając z Wiednia w Krakowie. Zjawiłem się w domu pewnego wieczora z oznakami żałoby. Aftanas jakby gromem rażony tą wiadomością zemdlał, następnie zdał sprawę z swoich czynności. Wszystko było w największym porządku. Był smutnym i milczącym, całe noce przepędzał w lesie, przegrywając na trąbce żałośnie, za dnia zaś krzątał się około gospodarstwa. Po trzeciej nocy znikł, napróżno dopytywałem się o niego wszędzie, wnioskowałem, że ulegając melancholii odebrał sobie życie lub w dalekie poszedł strony szukając innej służby. Wypadło mi być w Żółkwi, zajechałem do austeryi „pod karetą“, gdzie zwykle stawali tacy chudopachołki, jak ja, i gdy wracam z miasta, słyszę w szynku wygrywaną na skrzypcach kołomyjkę wraz z spiewem. Poznałem od razu, że to Aftanas, więc wchodzę do szynku i zastaję go siedzącego na stole, otoczonego zgrają pijaków. Gdy mnie spostrzegł, wypadł mu smyczek z ręki Nie bez oporu z jego strony zabrałem go z sobą do domu.

Oto masz pan dzieje życia mego i Aftanasa, którego gra dzisiejsza mnie i pana rozrzewniła. Dziwny to człowiek, pijak nałogowy, ale tylko wtedy, gdy go smutek ciężki lub srogie wspomnienie podrażni, wówczas uchodzi w las i gra nieustannie lub włóczy się po okolicznych miasteczkach i karczmach, dopóki nie straci wszystkiego, co posiada, poczem wraca, tak jak teraz, muzyką kojąc mój słuszny gniew. Dobrze, że wrócił, bom już tęsknił za nim, wreszcie kucharz z niego doskonały, piekarz, klucznica, a nawet praczka. A teraz dobranoc“.

Wnet zasnęliśmy, obudził mnie szmer, człowiek jakiś, którego przedtem w leśniczówce nie widziałem, stawia na stole obok sofki tacę z przyborami do kawy. Ujrzawszy tę postać głośnym wybuchnąłem śmiechem, człeczyna to był mały, chudy, smagły na twarzy, z podbitemi oczami filuternie na mnie spozierającemi. Był to Aftanas, inaczej wyobrażałem sobie bohatera poprzedniego opowiadania. Po chwili wszedł leśniczy, ciekawy byłem skutków pierwszego jego spotkania z Aftanasem. Zjawił się on niosąc z miną tryumfu pełen talerz świeżo upieczonych obwarzaneczków do kawy. Rzucił się ku niemu p. Michał, ja już gotowałem się do roli medyatora, ale

w tejże chwili padł Aftanas jak długi do nóg leśniczemu i począł płakać, czem zupełnie rozbroił gniew swego pana.

Pragnąc przekonać się, o ile postąpiła robota około naprawy mojej uprzęży, wchodzę do wozowni, i dowiedziałem się niestety, że majster d'Effée zaraz po wczorajszem widzeniu się ze mną, umknął do szynku i tam kolenduje. „A niech cię jasny...“ zakląłem. — „Niech się pan nie gniewa — odezwał się wchodzący leśniczy — naprawi nie dziś, to jutro, pan przecież tak rychło mnie nie porzuci“. Nie pomnę, com mu odpowiedział na te tak szczere zaprosiny, ale podejrzywałem mego gospodarza, że może sam wyprawił rymarza do karczmy, aby mnie zmusić do pozostania u siebie. Wyznam otwarcie, że tak sam leśniczy, jak całość tej ustronnej miejscowości, mieli dla mnie jakiś dziwny urok, i że z chęcią przyjąłem to zaproszenie.

Obowiązek służby powoływał leśniczego do lasu, poszedłem z nim. Porządek zastałem wszędzie wzorowy, las był podzielony na sekcye, przecięty linjami. Mieliśmy z sobą dubeltówki, bo od strony Prusinowa były jeziorka, a na nich mnóstwo kaczek, a jakiś pokurcz pies miał pełnić służbę aportera. Zdążając ku owym jeziorkom, przechodziliśmy koło miejsca, które obudziło w leśniczym wspomnienie komicznego wydarzenia. „Mieszczanie Bełzcy — opowiadał on — jako współwłaściciele tych lasów, mają w nim wolny wyrąb. Gdy który z nich potrzebuje drzewa budulcowego lub opałowego, zgłasza się do assesora, który wystawia mu asygnatę, a ja wydaję drzewo. Pierwszego roku po objęciu zarządu tych lasów spostrzegłem, że gospodarka lasowa była wcale nie prawidłową. O sekcyach rotacyjnych nie miał mój poprzednik wyobrażenia, rąbano drzewo, gdzie komu się podobało, najbardziej przy drogach i na suchym gruncie. Był więc las w niektórych miejscach znacznie przetrzebiony, w innych zaś mniej dostępnych postarzał się i gnił. Pomierzyłem las na sekcye, przeznaczając je z kolei na wyrąb, rozpoczynając od części nadto postarzałej. Mapy i cały plan gospodarstwa lasowego przedłożyłem burmistrzowi i radzie, która przeprowadzenie jego uchwaliła. Niedługo potem przyjeżdżają do lasu z asygnatami dwaj mieszczanie Bełzcy, których wraz z gajowym odsyłam do sekcyi, przeznaczonej na wyrąb. Wkrótce zjawia się gajowy skrwawiony i zmaltretowany raportując, że mieszczanie nie chcieli jechać do wskazanej sekcyi, poczynając ścinać drzewa przy samej drodze w miejscach dobrze już przebuszowanych, jego zaś opierającego się temu zbili. Zwołuję gajowych i ruszamy ku zuchwalcom. Podszedłszy blisko, pozostawiam gajowych w ukryciu, sam zaś zbliżam się do mieszczan przemawiając, łagodnie, przypominając, że nie pozwoliłem im rąbać w tem miejscu. Butne łyki opadli mnie obelżywemi słowami, wreszcie rzucili się z siekierami. Zwykle noszę z sobą gruby kostur, więc bronię się nim, waląc po łapie jednego i drugiego, czem powytrącałem im siekiery z rąk. Przywołałem gajowych, kazałem im rozciągnąć mieszczan, a że powoływali się na swój sławetny stan, podścielić własną ich odzież, i wyliczywszy każdemu sutych 25 plag, nie dozwoliwszy rąbać nawet w właściwej sekcyi, wyprawiłem do domu. Wszczął się gwałt i rumor, posypały się na mnie skargi do magistratu i cyrkułu. Delegowana komisya uwolniła mnie od wszelkiej odpowiedzialności, bo dowiodłem, że miałem prawo użyć nawet broni palnej odpierając napaść na moją osobę. Odtąd wielu mieszczan Bełzkich do dziś w otwartej ze mną żyją wojnie, ale ja nic z tego sobie nie robię, bo Magistrat musi przyznać, że sumiennie pracuję. Las w porządku, stan zwierzyny znacznie się pomnożył“.

Doszedłszy do jeziorek ubiliśmy kilka kaczek, podlotów sztuk kilkanaście, które aportował Gryź. Ścieżkami zdążając do leśniczówki zbliżaliśmy się do jakiejś łączki czy pastwiska leżącego w lesie, bo dochodziły nas głosy brzękadeł, zawieszonych bydłu u szyi i głos pastucha, nawołującego każdą sztukę po imieniu, aby się zbyt w głąb lasu nie zaciekała, i przygrywającego przytem na fujarce. Mówi mi leśniczy: „Pokażę panu osobliwsze stworzenie“, poczem złożywszy palce gwizdnął donośnie. Po chwiii odezwało się rżenie konia, później tentent, wreszcie zjawił się koń bardzo małych rozmiarów, maści karogniadej. „Oto jest moja nadobna i wielce mnie miłująca Handzia. No, no, dość tego“ — przemówił leśniczy do cisnącej się do niego klaczki — „jest to moja ulubiona wierzchowa, a ma tę cnotę, iż nikogo prócz mnie i Aftanasa nie znosi na swym grzbiecie“ — co mówiąc przełożył nogę przez nią. Pociesznym był widok człowieka słusznego wzrostu, siedzącego na takim kucu, nogi jego dotykały ziemi, podnosił je więc nieco do góry Jechał na niej stępo, kłusem i galopem, powodowała się każdemu jego głosowi. „Niech pan siada — rzecze p. Michał — jak pan spadnie, to bez szwanku, bo nie z wysoka“. Uważałem się za tęgiego jeźdźca, więc ubodła mnie nieco ta pewność leśniczego, że spadnę, siadam tedy jako słuszny podobnie jak leśniczy na kobylinę, ruszam naprzód stępo, potem kłusem, ale naraz, niewiem jakim sposobem, znalazłem się na ziemi, a nademną stała klacz i zarżała podobnym do śmiechu głosem. Nadszedł leśniczy trzymając się za boki ze śmiechu. Mocno skonfundowany siadam powtórnie, pociskam i ruszam cwałem, ale nagle kobylina psim obyczajem siada na ziemi, a ja naturalnie znowu leżałem na ziemi. „Otóż to ów fortel, jakiego używa do zsadzenia z siebie każdego jeźdźca“ rzecze leśniczy.

Ruszyliśmy dalej w las ku części, leżącej przy błotach Bełzkich. Handzia z Gryziem szła za swoim panem, pies był duży, więc co do wzrostu nie była rażąca między niemi różnica, a obok tego jakaś przyjacielska poufałość. Czasem chwytała go Handzia za grzbiet kudłaty, a on ją ugryzł z lekka, widocznie gzili się z sobą. „W zimie — opowiadał p. Michał — gdy śnieg wielki i trudno moim starym nogom w nim chodzić, zaprzęgam Handzię do łyżki, jak Aftanas nazywa moje małe saneczki, i jadę w las, aby tropić lisa, kunę lub wydrę. Mimo małego wzrostu niezmiernie jest wytrwałą, istna huculą. Przed siedmiu laty kupiłem ją od górala z pod Bolechowa, wożącego sól po naszej okolicy. Kupiłem ją małem źrebięciem, ledwo tygodniowem za bezcen, bo była chłopu kłopotem. Wychowałem ją starannie. „Aftanas“ — zawołał leśniczy, a kobylina poczęła rżeć i oglądać, wreszcie puściła się cwałem w las — „wie pan za czem pomknęła tak rączo? Na leśniczówkę w celu sprowadzenia Aftanasa. Czasem gdy z powodu cechowania drzew, odbioru wyrąbanych sągów, których kilkaset co rok muszę dostawić do magistratu, szkoły i probostwa, i w lesie przez dzień cały pozostać muszę; to Handzia służy za pośrednika między mną a leśniczówką Jeżeli mi potrzebny Aftanas, to wołam go, a klaczka pędzi do domu i skubaniem za odzież przyzywa go do mnie. W porze śniadania lub obiadu, nie mogąc się oddalić, posyłam po nie Handzię z sankami, a gdy przybyłem wierzchem, to okulbaczoną. Aftanas albo sam przywozi mi pożywienie lub przysyła je przez Handzię. Wkrótce ukazała się ona z Aftanasem na swym grzbiecie.

Podczas dalszego pochodu opowiadał mi leśniczy swoją przeszłość: „Urodziłem się w osadzie szlacheckiej Czajkowicach. Ojciec mój jak na szlachcica zagonowego miał się dobrze, gorliwie gospodarując na swych 40 morgach ornej ziemi i 20

morgach łąk. Miał ośmioro dzieci, z tych pięciu synów, ja byłem najmłodszym. Chodziłem do szkoły naprzód samborskiej, później oddał mnie ojciec pod dozór i na naukę ojców bazylianów w Ławrowie, gdzie nawet synowie magnackich rodzin byli umieszczeni. Gdym skończył czwartą klasę gimnazyalną, umarł mój ojciec właśnie podczas feryi, liczyłem wówczas lat 16, nie stało funduszów na moją dalszą naukę, nie chcąc być ciężarem w domu, puściłem się w świat za służbą. Pełniłem ją zrazu jako pisarz prowentowy, później jako ekonom. Dosięgnąłem już roku 26 życia, i gdym właśnie zmuszony był wydalić się z służby, którą przez lat kilka w pewnym dworze pełniłem, udałem się do rodzinnej zagrody. Tam zastałem matkę, brata żonatego i siostrę niezamężną, reszta rodziny rozsypała się po świecie. Nacieszywszy się domem ruszam na mojej kobyle w celu szukania nowej służby drogą wiodącą do Drohobycza, i kiedym zamyślony jechał gościńcem, napędza mnie jeździec na spienionym koniu wołając: „Z dorohy, graf jide.“ — „Pek wid mene, pesi synu“ — krzyknąłem do kozaka. On chwycił za nahajkę, ja za skałkówkę, przewieszoną przez plecy moje. Nadjechał pan jego, poznałem osławionego i groźnego Kalinowskiego, słusznego wzrostu, okazałej, butnej postaci. „A kto waść“ — pyta on. Wymieniłem moje nazwisko. „Więc szlachcic!“ — „Do usług, jechałem sobie drogą, a ten cham insultuje mnie“. — „No, no, waść zaraz do pukawki“. „Bo kozak porwał się do nahajki, a jak mi Bóg miły, palnąłbym mu w łeb jak psu“. Gdy się tak rozprawiamy, podjeżdża do mnie facetus jakiś, jak później się dowiedziałem niby marszałek, niby błazen dworu hrabiego, i rzecze: „A co to waść krupy chowa w swej czapce, że bojąc się je wysypać, tak szczelnie przytwierdził ją do głowy, kiedy my wszyscy zdjęliśmy je ku czci JW. wojewodzica hr. Kalinowskiego“, i sięgnął ręką do mojej czapki, chcąc ją strącić. Odbiłem ręką ten jego ruch. Moja łysa mniemając, że ją chcę ściągnąć harapem, skoczyła naprzód i silnie potrąciła konia przeciwnika, który zachwiawszy się w siodle runął w rów. Zrobiło się z tego powodu zamięszanie, Kalinowski groźnie się schmurzył i zawołał syczącym głosem: „A co to aspan dworzan mi rozbija, nas tu więcej“. — „Najuniżeniej deprekuję JW. Pana za klacz moją“. Podniósł się z ziemi powalany w pyle dygnitarz dworski i dalej do mnie w największej pasyi z językiem: „Ha, zawalidrogo, ja waści wyzwę na pi.. pi.. pi..“ (jąkał się zawsze a szczególnie w gniewie). „Pirogi“ — poddał mu inny z dworzan. Wszyscy wraz z Kalinowskim parsknęliśmy śmiechem, wreszcie mówi do mnie wojewodzic: „Podobasz mi się waść, jeśli wola, przystań do mego dworu“. — „Z miłą chęcią JWPanie“. Kalinowski ruszył naprzód, za nim jako szlachta Wadziński, Trzaska i ja. Kłócili się ci dwaj towarzysze moi z powodu poprzedniej afery, wreszcie i do mnie się Wadziński przyczepił, wyzywając mnie na ostre. Dwoma celnymi strzałami do wrony i jastrzębia zjednałem sobie względy hrabiego i Trzaski, a Wadzinskiego rozsrożyłem jeszcze bardziej na siebie. Dojeżdżamy wreszcie do Drohobycza. Żydzi zdala ujrzawszy pędzącego kozaka znikli jak kamfora, kryjąc się, gdzie który mógł. Cała kawalkada z 14 koni wtoczyła się w środek dużej karczmy. Bogacz, propinator i właściciel karczmy, opasły żyd, ujrzawszy wjeżdżającego Kalinowskiego, nadbiegł w celu powitania, bo bał się go okrutnie. Opowiadał mi Trzaska następujące zdarzenie. Kalinowski miał zwyczaj wypuszczać w dobrach swoich, dotykających niemal przedmieścia Drohobycza, propinacyę nie jednemu żydowi bogaczowi, lecz jak się wyrażał „kapcanom“ czyli ubogim żydom. Otoż na św. Jan kończył się wszystkim arendarzom ustny, nigdy pisemny kontrakt propinacyjny. Żyd bogacz, propinator z Drohobycza, zjawia się pewnego dnia w rezydencyi, tak nazywano pałac w Oparach, gdzie Kalinowski stale przemieszkiwał. Ów żyd z Drohobycza, bogacz i członek wszechwładnego kahału przybył z propozycyą wzięcia w arendę całej propinacyi dóbr samborskich Kalinowskiego, ofiarując kwotę znacznie wyższą, jak wszyscy arendarze razem. — „Aha! to chcesz wziąć propinacyę“ — mówi Kalinowski do żyda ironicznie się uśmiechając i jakby się namyślając przechadza się po obszernej sieni, u której drzwi wchodowych zawsze podczas takich audyencyi stało na zawołanie dwóch sążnistych kozaków, uzbrojonych oprócz szabel u boku, potężnym nahajem, przez plecy przewieszonym. — „Dobrze, dobrze — rzecze po chwili stając przed żydem — a gdzież się podzieją ci biedacy żydzi, którzy dotąd siedzą na karczmach“. — „Ny! oni pójdą do mnie w służbę na szynkarzów“. — „A jak nie zechcą?“ — „To ich wyrzucę, bo ja wszystko potrafię“ — odparł żyd z przechwałką. — „Potrafisz? — rzecze Kalinowski poważnie — a potrafisz ty palcem kiwać ot tak?“ — dodał robiąc ruch palcem wskazującym. Żyd sądząc, iż tem hrabiego ujmie i zamierzony cel osięgnie rzekł: „Czemu nie, potrafię“. — „No to kiwajże palcem tak długo, aż powrócę“ — poczem wyszedł do swoich pokojów. Żyd biorąc to polecenie za żart, wnet przestał kiwać, ale kozacy u drzwi stojący upomnieli go słowami: „Kiwaj lubo, koły jasny graf kazały“. — „Nu ty goj, szczo ty meni rozkazujesz“ — odparł butny bogacz, ale kozacy nahajem zmusili go do spełniania pańskiego rozkazu. Gdy żyd zmęczony przestaje kiwać palcem, kozak nahajem pobudza go do tego, wreszcie omdlał mu nie tylko palec, ale cała ręka, słabo mu się zrobiło i runął na kamienną posadzkę. Kalinowski, jakby wyczekiwał tej ostateczności, zjawił się w sieni niespodziewanie. Skoro żyda otrzeźwiono, rzekł mu: „A widzisz kpie, że nie wszystko potrafisz. Wracaj do domu, propinacyi nie dostaniesz, już jak mnie ssą, to niech ssą biedacy. Od tego czasu datowała się wielka tego żyda rewerencya dla Kalinowskiego, ale nie mniejsza też nienawiść. Bogacz ów jako naczelnik kahału rzucił „hazukę“, przekleństwo na każdego żyda, któryby wchodził z Kalinowskim w jakikolwiek interes. Ztąd wynikła wojna Kalinowskiego z kahałem Drohobyckim, żydzi poczęli opuszczać jego karczmy, Kalinowski w każdej z nich postawił straż w celu niedopuszczenia wyniesienia się arendarza, a gdy który się wymknął, chwytał go i potężnie obić kazał. Głośną na cały kraj była wówczas owa wojna, Kalinowski walczył otwarcie, żydzi po swojemu skrycie i podstępnie. Poczęły gorzeć budynki gospodarskie i inne wyrządzano mu szkody. To zmusiło Kalinowskiego do ogłoszenia barbarzyńskiego postanowienia, iż schwytany podpalacz żywcem w płomienie rzuconym będzie. Taka samowolna ustawa była powodem srogich nadużyć wykonawców jej kozaków i ingerencyi władz krajowych, komisye cyrkularne i kryminalne miały wiele do czynienia. Za pomocą „kozubalca“ udało się zatrzeć sprawę spalenia żywcem chłopa i żyda, schwytanych jako podpalaczy w folwarkach Opar i Kołodrub, a drakońskie to prawo odstraszyło innych.

Dostałem się do służby Kalinowskiego właśnie w chwili, gdy zwolniała ta szalona ustawa i schwytanych podpalaczy oddawano mandataryuszom. Mianował mnie dowódzcą „essaułą“ swoich kozaków. Przywdziałem barwę dworską kozacką, żupan i szarawary granatowe z wypustkami amarantowemi, czapkę i kuczmę z workiem również amarantowe, a jako odznakę nosiłem srebrne epolety, ładownicę i pas srebrny. Uzbrojenie prostych kozaków składało się z szabli i potężnych nahajów, a było ich 24. Trzymałem w rygorze tę bandę opryszków,

karnych tylko w obec swojego pana i mnie. Dla ludu i szlachty nie byli oni groźni tak, jak ich pan, ale żydom doskwierali do żywego. Dla ludu i biedaków był Kalinowski dobroczynnym, wielu chłopów i niechłopów znając porywczość Kalinowskiego, umyślnie drażnili go w różny sposób w celu odebrania plag, aby potem sowite otrzymać wynagrodzenie.

Kalinowski, jakkolwiek dobrze strzelał, nie był namiętnym myśliwym, szczególnie w kniei, chętniej polował na błotach ogromnych po nad Dniestrem w Kołodrubach, bogate w zwierzynę wodną i błotną. W lasach dla dostarczenia zwierzyny na stół pański polowali dworzanie, ale nie służba, i kilku rezydentów. Psiarnia była nieliczna, kilkanaście ogarów, trzy swory jamników, pięć smyczy doskonałych chartów i cztery wyżły, stanowiły całość. Tam nauczyłem się upatrywać zające, objeżdżać lisy. Czynność moja była często przykra, gdy przyszło spełniać szalone nieraz rozkazy, starałem się też, gdy było można, ominąć je lub wykonać tak, że i „wilk był syty i koza cała“. Najchętniej polowałem po błotach czy z Kalinowskim, czy w towarzystwie rezydentów i dworzan. Rozstaliśmy się wreszcie. Kalinowski rozdrażniony jakiemś niepowodzeniem, pragnąc zapomnieć o niem, czy rozerwać się, wezwał mnie jako swego łowczego, bym jechał z nim na polowanie błotne do Kołodrub. We dwóch z dwoma wyżłami poszliśmy na dubelty. Nieszczęście chciało, że w dniu tym na bogatych owych w zwierzynę błotach było jej mało, a w dodatku Kalinowski niemal do każdej sztuki chybiał, ja zaś każdym strzałem ubijałem. Gniewało to zazdrośnego i zarozumiałego hrabiego. Przechodzimy na łąki chłopskie, co, jak to mówią, aż pachniały dubeltem, bo otawa była gęsta i niezbyt wysoka. Mówi tedy do mnie Kalinowski z największą furyą: „Jak tu może być zwierzyna, kiedy tym szelmom chamom w dniu, w którym poluję, zachciało się kosić i zwierzynę mi płoszyć, spędź tam tego draba“. Wołam tedy do chłopa, koszącego dosyć od nas daleko, ale chłop, czy był głuchy, czy nie dosłyszał, popatrzywszy przez chwilę na nas, na nowo począł kosą machać! „Co — krzyknął rozwścieklony Kalinowski — nie słucha, pal mu w łeb“.— „Alboż to pies“ — odrzeknę. — „Nie chcesz szelmo, to ja tobie w łeb palnę“. — „Zobaczymy, kto komu prędzej“ — i mierzę w hrabiego, który posiniał ze złości i strasznym się stał, ale po chwili spuścił broń i krzyknął: „Fora z dwora szaraku“.— „I owszem JW. Panie“ — rzekłem kłaniając się z udaną uniżonością, i zarzuciwszy strzelbę na ramię ruszyłem pieszo do Opar.

Obawiając się nowej insultacyi ze strony Kalinowskiego, zabrawszy moje ruchomości, dosiadłem mego własnego konia i pomknąłem do moich rodzinnych Czajkowic. Począłem szukać nowej służby, a było to w końcu r. 1830, wybuchła wojna, poszli inni, poszedłem i ja, błogosławiła mi na drogę staruszka matka ociemniała, której już nie miałem oglądać. Wróciwszy z wojennej wyprawy, niemal o kiju żebraczym doszedłem do rodzinnej osady. Matka umarła, a za nią siostra i brat starszy. W tydzień może po moim powrocie zajeżdża na nasze podwórko bryka, otoczona 6 żołnierzami z pułku huzarów, i jakaś niepoczesna figura z urzędową czapeczką dopytuje się o Michała Czajkowskiego. Przedstawiłem mu się jako ów szukany, poczem kazał mi okuć ręce i nogi, i spisał sążnisty protokół. Nie mogłem domyśleć się przyczyny mego uwięzienia, przypuszczałem, iż może wskutek starcia z Kalinowskim na Oparskich błotach, dopiero z protokołu dowiedziałem się, że udział mój w powstaniu był właściwym powodem. Cała osada Czajkowic pojawiła się w naszem obejściu. Mimo protestu braci i sióstr moich, jakoteż prefekta (wójta) odwieziono mnie do więzienia cyrkularnego w Samborze. Po dwóch miesiącach ścisłego więzienia kazano mi pod sztandarem złożyć przysięgę i zostałem żołnierzem w pułku szwoleżerów hr. Orcilli, stojącego obecnie we Włoszech. Wyruszyliśmy tak zwanym transportem pieszo na Kraków i Wiedeń do Medyolanu, gdzie mój pułk stał garnizonem. Po latach 12 dosłużywszy się rangi wachmistrza powróciłem do kraju z dymisyą. Różne, dosyć smutne przechodziłem potem koleje, najboleśniejszą była strata żony. Syn mój dobił się stanowiska pracą i zasługą, ale wstydzi się prostaka ojca, mieszkającego w ubogiej leśniczówce, zamiast serdecznego uczucia wylewa czasem jakieś arcymądre słowa, zimne jak lód. Oto dziś mam tylko w tych zwierzętach — wskazując na Handzię i Gryzia — serdecznych przyjaciół, — lecz nie daleki już kres mego burzą kołatanego żywota“.

Umilkł leśniczy, obaj zadumani wróciliśmy na leśniczówkę, powitani tonami trąbki Aftanasa. Po kilku dniach opuściłem ten ubogi i odludny domek, w którym doznałem tyle błogich i rzewnych wrażeń.

KORESPONDENCYE.

Podhorce (w Stryjskiem) 10. Listopada.

W nadziei, że są i w innych okolicach panowie myśliwi, którzy interesują się tem, co u nas się dzieje, piszę tę korespondencyę i proszę sz. Redakcyę o pomieszczenie jej w łamach swego pisma. Zwierzostan tegoroczny jest więcej nawet jak pomyślny, dziki są w wielkiej ilości, ale trudno się spotkać z nimi, bo jakby przeczuwały niebezpieczeństwo, przed polowaniem samem wynoszą się w sąsiednie lasy. Sarn, zajęcy, jarząbków i kuropatw także dosyć; lisów mimo nieustannego niszczenia aż nadto, co się da wytłumaczyć wielką ilością myszy.

Polowanie pierwsze odbyło się w połowie Października w łozach gminy Kawczykąt, nad brzegiem Stryja. Było nas kilku dnia tego u sąsiada p. A. O., a uprzejmy gospodarz zaproponował, by korzystając z pięknego dnia i pozwolenia, które ma od dzierżawcy polowania w tych łozach, wójta gminy, zapolować. W strzelb 4 wyruszyliśmy, rezultatem kilkugodzinnych łowów były 3 strzały i ubite lis i słonka, zająca widziano jednego. Łozy gęste dawały do niedawna schronienie licznej zwierzynie, zawsze padało kilka lisów, kuropatw i kilkanaście zajęcy. Sam dzierżawca polowania wójt, nie robi szkody, bo głównie na szpaki poluje, pozwala za to polować różnego stanu osobom, i jak stary wieśniak z nagonki się wyraził, kilka dni przedtem polowało liczne towarzystwo, „same pysari taj muleri“. Dnia tego byliśmy też świadkami niezwykłej zuchwałości drapieżnych ptaków. W moich oczach o jakich 100 kroków, wziął jastrząb gołębiarz cerankę, potem, gdyśmy do domu jechali, ujrzał jeden z towarzyszy myszołowa *(Buteo lagopus)*, który niedaleko spożywał smacznie mysz, nie troszcząc się o nas i o asystujące mu wrony. Dla spróbowania strzału, nie każąc koni wstrzymywać,

strzelił, myszołów porwał się, ale uleciawszy ze dwa sążnie, widząc że go nie prześladujemy, wrocił po mysz, wziął ją i odleciał, by opodal dokończyć podwieczorku.

Na św. Szymona (25. Października) polowaliśmy po raz pierwszy w kniei w Stańkowie. Mimo ulewy i zimna polowaliśmy w strzelb 12 godzin 5, strzałów padło około 40, a ubito lisów 6, zajęcy 7 i słonek 2. Sarny wychodziły przeważnie flanką, zresztą myśliwi zmoknięci i ziębnięci przy końcu wiele przepuszczali. Knieja ta wzorowo urządzona, nagonka doskonale chodzi, zwierzostan bardzo ładny, zwierzyna przywykła do ludzi, bo nikt nie płoszy jej, a w lesie ciągle pracują. Nawet lisy dziwnie blisko na myśliwych wychodzą, jak to się wydarzyło sąsiadowi J., na którego w pierwszym zaraz trybie wylazł w rzadkim lesie mykita na jakich 10 kroków po lewej ręce i siadł, pragnąc zapewne widzieć, jak to bez klucza wyjmują się łuski ciężko wchodzące. Nemrod XIX wieku po długich korowodach wyjął jeden nabój (drugi po trybie laską wybił), założył nabój nowy, złożył się i po raz trzeci kłapnął. Tego było mykicie za wiele, ruszył, podyndował na P. A. i dał się celnym strzałem ubić. Tenże p, A. tego samego dnia jeszcze trzem mykitom innym życie skrócił.

4. Listopada odbył się w Siechowie w 4 strzelb *Spaziergang mit dem Schiessprügel*, przyczem 2 lisy i 2 zające ubito. Sarn było wiele, rogaczy poznano około 5, ale że mioty były ogromne, najmniej 12 myśliwych do dobrego obsadzenia potrzebujące, więc zawsze za daleko lub flanką wychodziły. Za to dnia następnego świetnie powiodło się polowanie w Uhełnie w strzelb 9. Rewir ten przylega bezpośrednio do Lisowic i należy do najlepszych w okolicy, to też i wtedy nie zawiódł nas. Dzików wprawdzie nie było, jeden tylko odyniec w przedostatnim miocie flanką uszedł, ale nikt dzika nie spodziewał się w trybie, gdzie częścią zapust świeży, częścią zrąb, w którym tego samego dnia rąbano. Rogaczy padło 2, zając 1, jarząbek 1 i lisów 7. W ostatnim miocie ubito 5 lisów, a jednego postrzelono, z tych p. P. ubił dubletem dwa lisy. Nie postrzelono prócz lisa nic. I tu ciekawe miała drużyna myśliwska widowisko. Przed kilku dniami obtropiono 2 żbiki, emocya myśliwych była więc dosyć znaczna. Po ukończeniu jednego trybu mówi pewien myśliwy, że opodal na jodłę w trybie skończonym skoczył żbik. Wszyscy obstąpili jodłę, świdrują ją oczami nadaremno, wreszcie odważny chłopak z obławy włazi na jodłę i po chwili woła: „szczoś sia ruszaje tutkaj“ i w tejże chwili coś niewielkiego zbiega z drzewa, jeden z Nemrodów strzela i ubija wiewiórkę szarą. W końcu muszę też donieść o stracie, jaką ponosi nasza i tak szczupła drużyna przez odjazd przeniesionego do Lwowa rotmistrza żandarmeryi pana Piechowskiego. Tracimy w nim obrońcę naszej zwierzyny, której bezpieczeństwa strzegł pilnie tępiąc kłusownictwo i przestrzegając ustaw, tracimy znakomitego myśliwego, strzelca pierwszorzędnego, miłego towarzysza wszystkich wypraw łowieckich i zebrań wszelkiego rodzaju. Spodziewamy się, że niezapomni o nas i zechce brać udział w naszych łowach, wszak ze Lwowa w Stryjskie blisko! *J. Brunicki.*

Z lasów Lubartowskich.

Dnia 12. Października polowano tu na zająca w 6 strzelb. Kiedy po przepędzeniu kilku miotów, myśliwi przejeżdżali w inne miejsce, jadący pierwszą bryczką p. L., spostrzegł stojącego na polance łosia! P. L. natychmiast założył ładunki i strzelił z obu luf kulami, a jednocześnie dwaj jego towarzysze lotkami. Lecz p. L. jakkolwiek dobrze strzela, z wielkiego wzruszenia widocznie chybił, a lotki z powodu znacznej odległości krzywdy łosiowi nie zrobiły, bo uszedł w głąb lasu. Szukano zbiega do wieczora, lecz psów nie było, łosia nie widziano więcej. Dopiero we dwa dni potem, straż leśna wyśledziła go w okręgu Mirowe Bagno. Założono bagno, dające nazwę temu okręgowi, łoś był, lecz przebił się przez nagankę i znów na parę dni przepadł. Już zwątpienie ogarniało myśliwych, czy z powodu braku psów uda się zdobyć tak piękny a rzadki u nas łup, gdy w Niedzielę 18go jeden z gajowych dał znać, że łoś jest w okręgu Niżnik. Okrąg ten leży w samym środku lasów, a jest w nim kilka dość rozległych kępiastych bagienek i ładne gąszczyki choinowe, można więc było przypuścić, że łoś w tak pięknem miejscu zostanie do drugiego dnia. Nazajutrz więc w poniedziałek w 11 strzelb i 40 ludzi naganki rozpoczęto polowanie we wskazanem miejscu. Parę miotów wzięto, łosia ani śladu. Dopiero koło południa przypędził konno gajowy, pozostawiony w okręgu Posok, z wiadomością, że łoś jest tam w brzezinie pod samem polem. Od Posoku dzieliła myśliwych odległość blisko 5 wiorst, sporo więc czasu upłynęło, zanim przy zachowaniu całej ostrożności założono duży miot, który nareszcie miał uwieńczyć dobrym skutkiem tygodniowe blisko starania myśliwych. Koło drugiej odezwała się naganka, a w chwilę potem łoś wyszedł na sztych na p. J. Rosz. dostał kulę w pierś, skręcił i poszedł wzdłuż linii myśliwych. Z kolei strzelił p. K. niefortunnie, po nim p. L. (ten sam, który pierwszy ujrzał łosia i strzelał tydzień temu) wpakował mu kulę w krzyż, łoś padł, lecz wstał jeszcze i ostatecznie nadleśny, p. Lip, kulą w łeb powalił go na ziemię. Był to piękny 3-letni samiec. Łoś ten, jak się teraz dowiedziałem, błąkał się od kilku tygodni w naszej okolicy, widziano go bowiem niedawno w Kockich lasach. Nieraz wychodził w pole do bydła, szerząc popłoch między chłopami, którzy uważali go za znak „pomorku“, twierdząc, że przed kilkunastu laty, gdy para takich zwierząt ukazała się w okolicy, wszystko bydło wkrótce padło. Skąd się jednak wziął łoś aż nad Wieprzem? Sądzę, że może w czasie jakiegoś polowania za Bugiem odbił się od stada, nie mógł doń później trafić i szedł coraz dalej. Najdziwniejszem zdaje mi się to, że prześladowany przez cały dzień nie wyniósł się całkiem, widocznie podobały mu się Lubartowskie lasy, ale nie spodziewał się biedak, że go tak niegościnnie przyjmą.

Wiedząc jak rzadkim jest wypadek zawędrowania łosia aż do nas, byliśmy przekonani, że nie prędko się coś podobnego powtórzy. Tem większe więc było moje zdziwienie, gdy mi przyniesiono wczoraj telegram od nadleśnego z wiadomością, że wyśledzono drugiego łosia! Niestety, jak poprzednim, tak i tym razem zajęcia nie pozwalają mi wziąć udziału w polowaniu, które pewnie urządzonem zostanie, co mnie nadzwyczaj trapi, bo sposobność strzelenia do łosia tu u nas nie często się zdarza.

Bądź co bądź będę miał dokładne wiadomości o łosie tego nowego przybysza, któremi nie omieszkam podzielić się z czytelnikami „Łowca“. *B. G.*

Wasylówka (Ukraina).

Rzadko się zdarza, by zbiorowe charcie polowania mogły być w porządku uszykowane, bo nie jeden nie będąc

myśliwym, łącząc się tylko dla towarzystwa i konnej jazdy, powiększa kółko myśliwych. Otóż gdyśmy się zebrali w powiecie Berdyczowskim u sąsiada naszego, byłego marszałka Lucjana Mazarakiego, odbyliśmy polowanie charcie w całem znaczeniu prawidłowo i z całym porządkiem, tak jak należało. Mazaraki, człowiek nie młody i mojej ręki myśliwy. Charty zawsze ma dowodne, a tem stał się powagą dla młodszych zawodników, którym o sławę ich chartów wiele chodziło. Towarzystwo nasze składało się z kilkunastu osób charciarzy, prawdziwych amatorów. Przy sobie każdy miał asystenta szczwacza ze smyczem chartów, które dla emulacyi sprowadzone były. Jak zwykle przed polowaniem toczyła się zawzięta gawęda o chartach, każdy był pewien swego zwycięztwa. Otóż posmyczowano po parze te tylko, które miały iść w zawody, a reszta na zawiązanych smyczach szły przy koniach. Moje tylko nie miały antagonistów; bo te jako głośne swą dobrocią, odstręczały każdego od próby, i z sobą w parze wiedzione były. Każdy, przed kim się zając pomknie, miał puszczać smycz swoją tylko. Gdyśmy na koń wsiedli i ledwie staję ujechali, niespodziany zając pomknął przed moim smyczem i szczwacz go poszczuł. Chart Komar, którego zalety wielu z obecnych znajome były, drugim został za Czerkiesem, który o wiele był gorszym od niego. Zdumienie moje było ogromne, bo zając wziąwszy parę obrotów od Czerkiesa, umknął z obrotu w parowy, psy się uniosły i wróciły z niesławą dla mnie i dla siebie. Myśliwym to było po sercu, bo mnie starego myśliwego na pierwszy ogień los rzucił, ja zaś pewny będąc dobroci mych chartów, wyzwałem do walki każdego, aby przekonać, że to tylko była jakaś niedyspozycya Komara. Więc zaproponowałem: kto ma najlepszego charta, niech go mi da do smycza, a wtedy przekonam, że pierwszy i ostatni obrót moje psy dadzą, bo nie o zająca, ale o charta emulować należy. Mój tak stanowczy wyzew odebrał chętkę każdemu stawania do walki i niby nie rozumiejąc słów moich, między sobą układy wiedli kto z kim ma iść w zawody. Szczuto zajęcy ośm, z tych jeden umknął bez obrotu w step równy i zniknął przed chartami. Emulatorom nosy się poprzeciągały, a ja ich pocieszałem, że łatwiej kompania przykrostkę znosi, jak ten, co sam musi się pocieszać. Zwrócono uwagę na ten mój żarcik, i przyznano, że mi humoru me charty nieodebrały, bo pewny być muszę ich zalet. Smycz, któremu zając omykiem nakiwał, uważano przed puszczeniem jako pierwszy w dobroci, ale po tym wypadku sława jego znikła, a zająca nazwano graczem. Mnie jako staremu charciarzowi chodzi o sławę mych chartów i o znajomość praw myśliwskich, które rozstrzygać mogą w podobnych zdarzeniach, a więc zwróciłem uwagę panów myśliwych charciarzy, komu aplauzy należą, czy temu, co śmiało wyzywa, czy tym, co się bali iść w zawody? Debaty były długie a kwestya nierozwiązana. Kto łaskaw z myśliwych kompetentnych, niech będzie w „Łowcu“ super-arbitrem naszym.

W numerze 10. tegorocznego „Łowca“ znalazłem apostrofę do mnie się odnoszącą, którą, mimo moich w pewnym względzie przekonań, jako słuszną przyjąć muszę. Oto jeden ze znakomitych korespondentów „Łowca“ wyrzuca mnie staremu weteranowi nierozważne ubijanie nietoperzów. U nas na Ukrainie między myśliwymi nie doznają one żadnego poszanowania, a to głównie z tego powodu, że nie mamy stowarzyszeń myśliwskich i zacofani jesteśmy tak co do przestrzegania ustaw łowieckich, jakoteż wiadomości naukowych. Ponieważ człowiek do końca życia swego uczyć się powinien, przeto przyjmuję chętnie tę naganę jako słuszną. Niech mi jednak wolno będzie staremu i zacofanemu wnieść jeszcze raz tę kwestyę do najmniejszych rozmiarów zmodyfikowaną i polecić strzałowi myśliwego choćby jednego nietoperza o szarej godzinie, a ręczę, że dozna prawdziwej przyjemności. Radbym, iżby u nas rozbudziło się racyonalne myśliwstwo i poszanowanie prawa w tym względzie, jak to się dzieje w Galicyi. Pragnąłbym, żeby w naszym zakątku „Łowiec“ znalazł szersze rozpowszechnienie, czem przysporzyłaby się Towarzystwu lwowskiemu liczba zwolenników, którzy czytając to cenne pismo chętnieby pewnie udzielali mu swoich spostrzeżeń i przyczyniali się do szerzenia u nas zdrowych zasad i reguł pod względem myśliwskim. W jaki sposób to się stać może, niech galicyjskie Towarzystwo obmyśli, a naszą rzeczą będzie poprzeć skutecznie jego usiłowania.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

KRONIKA.

Stary Kuplin 26. Października.

Choć zwykłych jesiennych polowań z nagonką jeszcze nie było, piszę do „Łowca“ słów kilka, rozpoczynając od polowania na kaczki, którego w właściwej porze także nie było, bo choć w tym roku kaczek na bliskiej rzece Jesiołdzie mogło być dosyć, to jednak przed św. Janem jeszcze chłopi, pisarze gminni, żołnierze dymisyonowani *et tutti quanti* puścili się na te łowy z bronią i psami, wyławiając kaczęta w puchu jeszcze i wyniszczając do szczętu tak, że w Lipcu już było pusto zupełnie. Zwykła to rzecz u nas, gdzie nikt o jaki bądź porządek nie troszczy się wcale. Szczęście, że ci niszczyciele w lot strzelać nie umieją, bekas więc, kuropatwa, przepiórka są od nich zabezpieczone. Dubeltów w tym roku prawie nie było, za to kuropatw mnóstwo, powietrze bardzo łagodne i bezśnieżne zimy sprzyjały ich rozmnożeniu, można się było więc nastrzelać do nich, nabito też wiele tej zwierzyny. Teraz jeszcze spotkać można stada, złożone z kilkunastu sztuk, ale strzał prawie niepodobny. Lisów jest także wiele, im to zawdzięczyć należy, że zajęcy mamy mało, często też spotykam resztki niedojedzone. W miesiącu Wrześniu zanotowałem w pamięci kilka niezwykłych zdarzeń myśliwskich, któremi dzielę się z czytelnikami „Łowca“. Jednego wieczora n. p. przyniósł mi chłopak ze wsi dropia dosyć dużego, zabitego kijem, który zapewne z powodu zbyt obmokłych skrzydeł zerwać się nie mógł. W kilka dni potem fornale orząc zabili kijami sporego lisa. Najdziwniejszy jednak wypadek zdarzył się kilka dni temu, za którego prawdziwość ręczę osobiście. Pastuch od bydła dał znać jednego wieczora, że na brzozie siedzi zwierz jakiś, większy od kota. Nie poszedłem tam zaraz sądząc, iż zwierz ten miał dosyć czasu uciec, kiedy wszakże dano znać nazajutrz pod wieczór, że wciąż jeszcze siedzi, wybrałem się ze strzelbą w celu sprawdzenia faktu. Jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał lisa siedzącego na brzozie grubej, pochyłej, prawie na jej wierzchu, przytulonego do gałęzi. Jakim sposobem tam się dostał i czy strach, czy pożądliwość zdobyczy zapędziły go tam, trudno orzec. Zdaje się, że z jakiegokolwiekbądź powodu przedsięwziąwszy tę peregrynacyę, wycofać się nie umiał, a skoczyć z wysokości 20 może łokci bał się, więc prawdopodobnie byłby tam zdechł z głodu, gdybym mu strzałem do spuszczenia się na ziemię nie pomógł. Lis był duży, a skórka wcale niezła.

L. Kraszewski.

Straża (Bukowina).

Dnia 13 Października zabiłem zajęczycę, której sutki pełne były mleka. W Putnej zabito tego roku na rykowiskach 12 jeleni, między nimi ślicznego ośmnastaka. O jeleniach przyślę wkrótce korespondencyę.

C. K.

Sprostowanie. W ostatnim numerze, w artykule „Myśliwstwo w Syberyi", zakradła się omyłka drukarska, o której poprawienie prosimy. W szpalcie II. wierszu 7 ma być zamiast igłami, żyłami renifera.

Dobromirka, Listopad.

W poprzedniej mojej korespondencyi opisałem wiernie fakt tyczący się wścieklizny, wydarzony przed kilkunastu laty. Ponieważ opisuję tylko fakta dokonane, a te są częstokroć sobie sprzeczne, więc też sprzeczność zachodzi między moją poprzednią korespondencyą i niniejszą, a mianowicie z tego powodu, że tego roku pokaleczył mi pies wściekły parę koni. Chłop z Kontek już dawno w grobie, ale jego żona zajmuje się warzeniem cudownych ziół. Otóż jednego konia leczyłem odwarem z Kontek, drugiego pastylkami p. Patkiewicza. Obadwa konie się wściekły. Z czego wynika nauka, że najlepszą prezerwatywą, szczególnie dla zakażonych psów, są pigułki ołowiane, reszta środków niepewna, a nawet tryumf Pasteur'a jeszcze nie jest zupełnym. Ja także chciałem wznieść hymn pochwalny dla p. Patkiewicza, gdy w końcu koń leczony jego pastylkami wściekł się po siedmiu miesiącach.

Stanisław Kierski.

W ostatnich dniach Października b. r. polowano w Perepelnikach (pow. Złoczowski) i ubito 35 słonek, 2 kuropatwy, 10 lisów i 1 rogacza. Pan P. R ubił jastrzębia gołębiarza, unoszącego z miotu w czasie polowania słonkę, czem wszyscy myśliwi zachęcili się do tępienia tego drapieżnika. Po przekąsce w kniei uraczono myśliwych przewybornymi owocami z sadu p. Sz. Padlewskiego, właściciela Perepelnik. Jabłka i gruszki z tego sadu istotnie godne uwagi i rozpowszechnienia.

I. Preyzner.

Z nad Wisłoki.

Bez zaprzeczenia rok ten jest pomyślnym dla zwierzyny, szczególnie stan zajęcy w całym kraju znacznie się polepszył. Jednakowoż prawdziwe rezultaty widzimy tylko tam, gdzie właściciel terenu myśliwskiego nie szczędzi starania i umiejętnej opieki. Jako przykład pozwolę sobie zacytować Żyraków, majątek p. Romualda Wojciechowskiego. W r. 1882., gdy młody właściciel tam zamieszkał, polowaliśmy w polach i zabili 11 zajęcy; teraz po trzech latach miałem sposobność znowu polować na tem terytoryum i w 7 strzelb w kilku godzinach zabiliśmy 95 zajęcy.

St. Jędrzejowicz.

W Krakowcu, dobrach nabytych r. b. przez hr. Kazimirza Łubieńskiego, odbyło się w dniach 16. i 17. Października polowanie, na którem padło: 3 rogacze, 16 lisów, 16 zajęcy i 4 słonki. Małą ilość ubitych zajęcy tłumaczy mnogość lisów, których przez dwa dni polowania widziano ze trzydzieści. Polowanie będzie nadal przez nowego właściciela Krakowca starannie utrzymywane i ze względu na korzystne położenie może się z czasem stać jednem ze świetniejszych w kraju. Hr. Łubieński zaprowadził w wielkim ogrodzie Krakowieckim chów bażantów i już w pierwszym roku ubito kilkanaście kogutów. Ogromny staw Krakowiecki daje przyjemność polowania w lecie na kaczki, czaple i kormorany, które się na kępie pośród stawu położonej stale gnieżdżą. Staw ten trzcinami w znacznej części zarośnięty, daje w każdej porze roku obfity żer lisom, ztąd znaczna ich ilość w lasach niezbyt daleko od stawu położonych. Tępienie zatem lisów trucizną w lesie nie przyniosłoby rezultatu, ale polowanie systematyczne może umniejszyć znacznie liczbę tych niepoprawnych szkodników, a pomnożyć przez to ilość pożytecznej zwierzyny, nie pozbawiając myśliwych przyjemności strzelania do kilku lisów na każdem polowaniu.

I. S.

Z Jasielskiego, Listopad.

W Szerzynach, majątku p. Bolesława Jordana, polowano w dniu 5. Listopada b. r. w 10 strzelb i 24 gończów na obszarze lasu „Borówki", na przestrzeni 500 morgowej. Zajęto 6 miotów i ubito: 3 lisy, 1 rogacza, 5 zajęcy. Polowanie trwało 6 godzin. Mimo skromnej liczby ubitego zwierza, widziano w tym obszarze 6 lisów, 4 sarny, 17 zajęcy i 1 słonkę. Pudłowano niezwyczajnie, więc z inicyatywy pani Bolesławowej Jordanowej uczestnicy polowania bez wahania złożyli za każdą sztukę chybionej zwierzyny po 50 ct. na korzyść weteranów z r. 1831., przyczem spełnili kielichy za ich zdrowie. Zebrało się 13 zł. W Szerzynach odbywa się polowanie towarzyskie z nagonką nie częściej, jak trzy razy w roku, zawsze z dobrem powodzeniem. P. B. Jordan psów gończych nie trzyma, a włóczące się każe strzelać straży leśnej. Sąsiednie gminne polowania dzierżawi stale, płacąc je drogo, a kłusownictwo prześladuje energicznie.

W. Ch.

Dnia 12. Listopada polowano w Bereżnicy, majątku p. Pawlikowskiego w powiecie Żydaczowskim, w licznem gronie myśliwych, bo w 20 strzelb. W niewielkim lesie wzięto 4 mioty, a na rozkładzie było: 7 kozłów, 10 lisów, 2 zające i 1 słonka. Stado dzików sztuk 12 wyszło w pierwszym miocie na strzał, lecz przedarło się szczęśliwie i przeszło wpław przez Dniestr do sąsiednich lasów. Brak zajęcy w tej okolicy tłumaczy się wylewem Dniestru przed dwoma laty, który prawie wszystkie zatopił, a pozostałe zmotyliczały. Za chybione strzały zebrano przeszło 20 zł. na korzyść weteranów. Przykład godny naśladowania.

R.

Jasionka 14. Listopada.

Że bez znacznego nakładu można mieć bażanty, niech służy następujące sprawozdanie tegoroczne. Sprowadziłem na wiosnę z Czech sześć kur i koguta kosztem 48 zł. Umieściłem je w izdebce, z której właśnie wypuściłem przezimowanych dwadzieścia par kuropatw i zatrzymałem tam bażanty do końca Kwietnia. W tym czasie spostrzegłem, że jedna kura zginęła, pozostałych więc pięć i koguta zaniosłem pod wieczór do trzech-morgowej remizy wśród pól i tam na wolność wypuściłem. Remiza ze świerków i spirei gęsta, strzyżona, miejscami tylko wyższe brzozy wyrastają, w środku mały stawek i zawsze żelaza na lisy zastawione. Wypuszczone na wolność bażanty rozbiegły się po polach, jednak rano kogut pierwszy przyszedł do remizy a zasiadłszy na brzózce tokował tak długo, aż zwołał rozbiegłe kury do remizy. Po tygodniu dozorca doniósł mi, że trzy kury w remizie siedzą na jajach, zaś dwie odkrył później w sąsiednim łanie pszenicy. Słowem wszystkie pięć kur siedziały na jajach i wyprowadziły 43 młodych. Z tych 10 sztuk wyprowadziła kura do mego sąsiada, gdzie ze zdziwieniem rządzca strzelał do niezwykłych kuropatw, zaś reszta pozostawała u mnie w remizie i w pobliskim łanie ziemniaków. Polując na kuropatwy z wyżłem, zabiliśmy sztuk dziewiętnaścia. Obecnie widuję w remizie jeszcze stale sztuk ośm a to sześć kur i dwa koguty, które zostawię własnemu przemysłowi na zimę, aby się przekonać, czy tak zupełnie na dziko chowane utrzymają się do wiosny. W każdym razie nakład się wrócił, a przyjemność tem większa, że rezultat osięgnąłem wcale nie spodziewany. Kuropatw stan u mnie bardzo ładny, około trzysta sztuk ubiliśmy w tym roku na niewielkiem terytoryum myśliwskiem. Na terytoryum gminnem płacę pastuchowi guldena od gniazda, z którego kura już młode wyprowadziła, tym sposobem kilkanaście rocznie ochraniam od tych dwunożnych szkodników.

Stanisław Jędrzejowicz.

Pstrągówka (Jasielskie) 3. Listopada.

Jako gość bawiłem dni kilka w samej Pstrągówce i w okolicy. Położenie górzyste i lesiste, toż zwierzyny tu obficie. W jednym dniu spotkałem stadko sarn, złożone o ile policzyć mogłem z 8 sztuk. Zajęcy też jak mi mówili włościanie, ma być dość. Do pierwszych widzianych nie strzelałem, uwzględniając cudzą własność, lecz gdy wieczorem w dąbrowie przeciągnęła jedna, druga aż do czterech słonek, nie mogłem się powstrzymać, strzelałem i ubiłem trzy, rozgrzeszając własne sumienie uwagą, że to ptak wędrowny, dziś tu, jutro gdzieindziej się pojawiający. Nic szczególnego słonka, lecz o tej porze napotkana w większej liczbie, zdaje mi się być rzeczą niezwykłą, więc donoszę o tem.

C. D.

Zawidowice 11. Listopada.

Dotąd nie byłem na żadnem prawie polowaniu, chyba że tak nazwę trzy wycieczki w 2 lub 3 strzelby w łozinie zaledwie dwudziestumorgowej u nas w Zawidowicach wśród mokrej łąki położonej. Jest tam więcej trawy jak łoziny, bo grunt nie szczególnej jakości, całość podzielona na cztery maleńkie miociki po niespełna 5 morgów. Mieliśmy zawsze ze sobą charty, by uszczuć to, co w pole wychodziło. Zabiliśmy 1 rogacza, 1 borsuka, 6 lisów i 2 zające, charty zaś wzięły 1 lisa i 8 zajęcy. Rezultat na tak małej przestrzeni bardzo dobry, zwłaszcza że lasu nie ma nigdzie w pobliżu. Sarny były każdym razem, ale nigdy prawie nie chciały wyjść na myśliwych, strzał zresztą bardzo trudny, bo gąszcz ogromny, a linije wąskie. Zresztą dotychczas nic o polowaniach donieść nie mogę, bo dotąd w naszej okolicy strzelba wisi na kołku i myszy tylko spolowały nam całą oziminę, a to tem łatwiej, że czas im posłużył doskonale.

St. Weissmann.

Kamienopol, Październik.

W miniaturowej mojej kniei, las bowiem podzielony na trzy części liczy 50 morgów, urządziłem polowanie w 7 strzelb, którego rezultatem były 12 zajęcy i 1 lis. Byłoby padło więcej zwierzyny, gdyby nie pudła. Może to i lepiej, że nie wybito mi zwierzyny co do nogi. Oprócz zajęcy i lisów mam w lasku moim, czego dawniej nie bywało, stadko sarn, złożone z jednego kozła, dwóch siut i jednego sarniątka. Panowie myśliwi przyrzekli mi solennie przed rozpoczęciem gonu nie strzelać do tego ojca rodziny, jedynego kozła. Nie jestem wszakże pewny, czyby który z nich nie uległ pokusie, gdyby stadko zaraz po odezwaniu się huczków nie przeszło było do Lesienickiego lasu, o dwa kilometry niemal odległego. Widziałem je w tym pochodzie i zdawało mi się, że patrząc na mnie czyniły mi wyrzuty, iż zamąciłem im dotychczasowy błogi spokój. Zawstydzony przyrzekłem im w myśli, że pukanina w ich ostoi nie rychło się powtórzy. *E. U.*

Hoszany.

Na dniu 2. Listopada odbyło się polowanie w kniei tutejszej. Myśliwych było 12, rezultat: 1 rogacz, 5 zajęcy, 6 lisów, 1 słonka. Nazajutrz przeszukano z psem legawym knieję i znaleziono dwa postrzelone zające, które legawiec wziął w miejscu. Las otoczony polami, gdzieniegdzie wzgórkowaty, powinienby być zbiornikiem sarn i zajęcy, gdyby nie nadmierny stan lisów. Sześć ubito, dwa razy tyle wymknęło się niewidzianych lub spudłowanych. Miejmy nadzieję, że lepiej będzie, bo dzielni synowie właściciela lasu postanowili bezwzględnie tępić lisy.

F. G. D.

Isaje (nad Stryjem).

Dnia 20. Października późnym wieczorem wracałem do domu z Turki. Opodal od wsi Jawory i Isaj tuż przy drodze publicznej stoi niewielka karczemka, a w pobliżu jej las. W celu zapalenia cygara wstąpiłem do owej karczemki. Wszedłszy do izby szynkownej, widzę rozgardyasz, dzieci płaczą, a sama bałbuste (gospodyni), głośno zawodząc, szmatami obwija sobie rękę, z której krew sączy się obficie. „Co się stało?“ — pytam. Na to żydówka: „Ażeby go szlak trafił, a złodziej, już wziął mi sześć kur, a temu pół godziny ot co mi zrobił“— dodała wskazując skaleczoną rękę. „Któż to ten złodziej?“ — pytam. „Nu, kto, lis, wun tak się znadził na mój dobytek, że co dzień włazi do kurnika. Mojego (męża) nie ma, siedzę z dziećmi, aż tu mi kury kudkudają, aha, myślę sobie, *ist gekimmen der ganef*, wybiegam, żeby nie uciekł, zatykam dziurę w dachu, którą właził, i z nożem w ręku wchodzę do chlewka, gdzie kury. Zamknęłam drzwi za sobą, patrzę, lis leży w kącie, ja do niego z nożem, a wun mnie chap zębami za rękę. Krzyczę: *a di szwarcjur, a richenże*, a wun nic nie gada, ino trzyma. Nogą otwieram dźwirki od chlewka, żeby zawołać starszego syna, a lis jakby na to czekał, porzucił rękę i w las“. Rana była dosyć głęboka, ale niebezpieczeństwa nie ma, bo kobieta zdrowa i silna. Scena ta przypomina przysłowie: „Złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma“. *Lewkun.*

Dzikie króliki wyrządzają w lasach Leszna i Rydzyny W. Ks. Pozn. takie spustoszenia, że Władza królewska nakazała wybijać te szkodniki, wyznaczając po 25 fenigów nagrody od sztuki.

Łowy na dzika. W lasach Olszyńskich, posiadłości p. Jana Kochanowskiego, w powiecie Brzeskim, wyrządzał od lat kilku niezmierne szkody w polach dzik, którego zabić nie udawało się myśliwym. Włościanie nie mogąc ochronić zasiewów swych od nieproszonego gościa, udali się do p. Szumańskiego leśniczego, aby zarządził obławę i od szkodnika ich uwolnił. Młody ów człowiek, chcąc doświadczyć odwagi własnej, wybrał się z jednym włościaninem, który znał legowisko dzika, w zeszłym tygodniu w nocy do lasu i stanął w wąwozie, którym wypłoszony dzik musiał przechodzić. Jakoż istotnie wyparty przez psy z legowiska dzik rusza w wąwóz wprost na Szumańskiego, który strzela pierwszy raz bez skutku, bo tylko kapsla spaliła, drugim zaś strzałem trafia dzika w czaszkę pod okiem. Dzik zwraca się i kryje w gąszczu. Po długich poszukiwaniach znaleziono go, leśny zapala słomę, czem poruszony dzik rzuca się w stronę Szumańskiego, który strzela i zadaje mu cios śmiertelny po za ucho. W kilku podskokach powalił się martwy na ziemię. Zabity dzik ważył 326 kilogr. Godną zaiste podziwu odwaga leśniczego, granicząca z zuchwalstwem. Na skórze obielonego dzika znaleziono ślady kilku kul.

Wydry w Berlinie. Według doniesień Berlińskiej gazety *Tagblatt* zwierzęta te prześladowane na prowincyi, zagnieździły się tak licznie w Berlinie na rzece Sprei pomiędzy skrzyniami rybackiemi, pod zabudowaniami łazienkowemi, mostami i t. p., że zachodzi potrzeba odniesienia się do Towarzystwa rybackiego o pomoc w wytępieniu drapieżnika, z którym nie mogą się uporać sami bezpośrednio interesowani.

(Sylwan).

Z teki starego myśliwego. O dwie wiorsty od mego rodzinnego miasta Maryampola leży folwark Kwieciszki nad rzeką Szeszupą. Był to główny folwark klucza Kwieciskiego, a dawniej wchodził w skład starostwa Preńskiego. Napoleon I. za księstwa warszawskiego oddał ten klucz książętom Sapiehom w 50-letnie posiadanie. Dobrami temi zarządzał tak zwany plenipotent, a był tam także kasyer i wójt oraz niżsi oficyaliści. Starsi oficyaliści byli to ludzie ukształceni, zacni, dobrze płatni, więc też był tam ład, dbano o dobro pańskie i malwersacyi się nie dopuszczano. Z miasta bywali tam często goście. Raz u wójta ś. p. J. S. latem, a było to około r. 1840, zebrało się dosyć osób, a że S. był myśliwym i nabył nową fuzyę, dalejże mężczyźni próbować ją na obszernym dziedzińcu przed domem. Naprzód wyrzucano kawałki drzewa, potem kamienie, nareszcie czapki. Gospodyni domu ozwie się do kobiet: „Ależ ci mężowie nasi dokazują, od strzałów aż uszy więdną, może być jaki wypadek a i kawa stygnie, dobrzeby było zwabić ich do pokoju“. Na to matka moja rzecze: „Chyba ty potrafisz umitygować ich i do nas sprowadzić“. Pani D. wdowa, kobieta energiczna, powszechnie poważana odpowiada: „Zobaczycie jak ja ich zaraz uciszę“. Wychodzi, staje między mężczyznami i mówi do nich: „Panowie, bawicie się jak małe żaki, już nas ogłuszyliście waszą pukaniną. Znałam ja takich zuchów, co to strzelali bez pudła do jaskółek lub pięciogroszówek, a jak przyszło strzelać do kuropatw albo bekasów, to bywało pudło za pudłem. Wam się zdaje, że to wielka sztuka trafić w czapkę, szkoda prochu i śrótu, ot ja baba pokażę wam, jak się strzela, wyrzuć panie wójcie twoją czapkę w górę, tylko szkoda, bo nowa“. Wójt odpowiada: „Gotówem nawet skoczyć do izby po nowy kapelusz warszawski i wyrzucić go, aby pani dobrodziejce zrobić większą satysfakcyę“. — „Obejdzie się bez kapelusza, czekam na wyrzucenie czapki“. Pan S. odszedł na kroków 20, pani D. bierze fuzyę do ręki i gdy czapka wyleciała w górę, rozległ się strzał. Skoczą po czapkę i widzą wnet, że ona i daszek podziurawione jak sito. „Vivat! niech żyje pani D.!“ Ona zaś kłania się wszystkim i rzecze: „No widzicie, baba was zawstydziła, teraz proszę słuchać mojej komendy: „Marsz na kawę do pokoju!“ Z gwarem i rumorem ruszyli wszyscy za nią. *R. Wierzbicki.*

Ogłoszenia.

Opuścił prasę:

ŁOWCA KALENDARZ

myśliwski i rybacki

na rok 1886

rozszerzony Ustawą dla Królestwa Polskiego, listą członków gal. Tow. łow., z nowym działem literackim, w ozdobnej oprawie.

Cena 1 złr., 2 marki, 1 rubel.

Zamówienia przyjmuje sekretarz Tow. łowieckiego Lwów ul. Teatralna 18.

INSERATY.

Pigułki K. Hostońskiego,

wypróbowane w swej skuteczności w chorobach psów, są do nabycia u Sekretarza Tow. łow.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.